PR R 1965

I-18413/73 19.4

...erze: Mgły nad lasem • Z łódzkich tuwimianów • Maleńka droga do ... • Posiadłość prywatna, obcym wstęp wzbroniony • Lalka • Recenzje • Felietony • Polonica

...odgłosu

MIEJSKO-GMINNA RADA NARODOWA ODZNAKA ŁÓDŹ

Nr 1 (357)
10. I. 65 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

JAN BĄBIŃSKI

MY WODĘ, CZY PIASEK NAS?

Bez wody to jak bez powietrza. Różne już bywały kryzysy: handlowy, przemysłowy, paliw i surowców, lecz najstraszniejszy z kryzysów dopiero nadchodzi. To kryzys wodny, który już nam zaczął wygrażać suchą pięścią. Chłopi kutnowscy odczuli to na własnej skórze. Jeden z powiatowych działaczy spytany, jaki problem uważa obecnie za najważniejszy dla kutnowskiego rolnictwa, odparł:

— To problem taniego budownictwa, zagospodarowania doliny Bzury, dźwignięcia gospodarstw podupadłych.

Działacz zrobił przerwę, spojrzał spod oka i uzupełnił:

— To przede wszystkim problem wody.

Święte słowa, wizjonerskie. Nie spadły z ...ba, nie spłynęły z ust pod wpływem natch...nia. Te słowa wzięły się z faktów, które są suche. Nie tylko de nomine. Uporczywy brak opadów tak dopiekł chłopom spod Kutna, że o dziwo, ścięli w zeszłym roku mniej ziarna w polu, niż chłopi spod Wielunia. No i doszło do takiego dziwolągu, że w Czerwonce, i gdzie indziej, żąda się teraz 140 zł za metr słomy!! Doprawdy uwierzyć trudno. Wiadomo jak niedobra to sprawa, gdy słoma siano zjada. No cóż, wspaniała pszenno-buraczana ziemia kutnowska, która od pokoleń jest spichrzem Łodzi i daje 20 procent produkcji rolnej województwa, ta ziemia odmówiła wysokich plonów. Szkolny, klasyczny przykład destrukcyjnego działania czynnika przypadkowego w naszym rolnictwie. Nie traktor i nawozy, lecz często zbieg okoliczności decyduje o wszystkim.

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

MIARY

FRAGMENT POWIEŚCI POD TYM SAMYM TYTUŁEM

Może dlatego, że starałem się dostatecznie usprawiedliwić podróż, i ta chęć we mnie trwała, była dokuczliwsza niż przymus siedzenia w wagonie, bo mogłem z niego wyjść dosłownie w każdej chwili, kiedy pociąg się zatrzyma albo nawet wyskakując w biegu; może właśnie dlatego, że nie mogłem uwolnić się od podróży, a tylko co najwyżej zmienić środek lokomocji, bo przysługiwał mi zaledwie wybór sposobów, podczas gdy cel był właśnie jeden, ten właśnie a nie inny i stąd ta trudność w sprecyzowaniu motywów, które mną powodowały od momentu depeszy, zresztą, żeby jechać nie potrzeba zasad, wystarcza najzupełniej bilet; może dlatego właśnie w ciągu całej drogi nie opuszczało mnie przeświadczenie, że oddalam się coraz bardziej od punktu docelowego i upewniałem się w tej wiedzy z każdą mijaną stacją, przez którą musiałem przejeżdżać, na której rzeczywiście stawaliśmy, czekając aż wejdą nowi pasażerowie i zostanie załadowany bagaż do wagonu pocztowego, całkowicie zgodnie z tym, co jednostronnie określał bilet.

Momentami trudno się było oprzeć złudzeniu, że zostałem delegowany służbowo, teczka pełna dokumentów spoczywa nad moją głową, na półce, trzeba jej pilnować, nie można z niej ani na chwilę spuszczać wzroku, jestem odpowiedzialny za interesy mojego wydziału, wszystko zależy od tego jak się potrafię rozmówić z naszymi kontrahentami, szef się nie tylko zgodził na tę podróż, szef mi ją przede wszystkim zlecił, muszę być przytomny, muszę uważać za siebie i za nich. Mogło tak wyglądać, ale przecież od czasu do czasu rzucał mi się w oczy jakiś strzęp krajobrazu, a później, kiedy wjechaliśmy w obszar średnich wzniesień, kiedy pokazały się pokryte trawą łagodne wyniosłości, krajobraz był przy mnie stale, jeden, wyniesiony nad pociąg, przysunięty do okna, teraz już nie krajobraz tylko stok wzniesienia, a dalej dzieci, dzieci machające rękami, oglądane ciągle na nowo, zbiegające w dół do nasypu. Dzieci występują gromadnie, niezróżnicowane, ale przecież utkwił mi w pamięci jakiś jeden malec, który w chwili mijania podniósł biały kamyk, to znaczy tyle zauważyłem, nagle pochylenie chłopca, a skoro go widziałem, to i on musiał nas oglądać, musiał spostrzec pociąg, a ze szczytu pędzący skład wydawał się też chyba monolitem, jedną błyszczącą kreską; z tej odległości pociąg może się wydawać taką srebrzystą kreską, niekoniecznie paseczkiem rtęci, niekoniecznie, ale to przecież niewykluczone, zważywszy, że tor z całym systemem równoległych do siebie podkładów stanowi model jakiejś idealnej skali; tor i pociąg przeskakujący ze szczebla na szczebel odmierzając w ten nieskomplikowany sposób odległości.

Ale szło przecież nie o to, z czym się ten pociąg mógł kojarzyć i jakie oderwane, idealne treści kryją w sobie te wszystkie porównania, tylko o to, czym on był dla mnie naprawdę, konkretnego dnia, o ściśle określonej godzinie, w jaki to punkt przestrzeni, w jaki to umiejscowiony obszar doznań mnie unosił, ze szkodą dla mnie czy może dla mego zysku, czy może poza nim, poza moim biurem, poza śmiercią mego ojca, dla jednego albo dla drugiego. Usiłowałem uporać się z wszystkim już wtedy, taki byłem zaprzątnięty wyjaśnianiem rzeczy niemożliwych, i nawet nie pamiętam chwili, kiedy uprzytomniłem sobie, że nie ma obok mnie Magdy: właściwie najpierw wyobraziłem sobie, że jej nie ma, a dopiero po chwili stwierdziłem sam brak: tym dokuczliwszy, że miejsce obok było wolne i może dlatego jeszcze, że to była pierwsza podróż od pół roku, od chwili, gdy starałem przed urzędnikiem stanu cywilnego, inspekcje w terenie trudno zaliczyć do podróży. Przecież właściwie obiecywaliśmy sobie kiedyś wyjechać razem, na całe lato, tylko nie dostałem wtedy urlopu, aż zupełnie zarzuciliśmy ten pomysł, odkąd Magda była brzemienna, odkąd ciążą rzucała się w oczy, pomysł już niewykonalny, a nawet groźny dla życia dziecka, które wprawdzie nieśmiało, wprawdzie przez ciało Magdy, przez jej luźną suknię, ale kontaktowało się ze światem i w zasadzie dni tylko dzieliły go od pozbycia się pośrednictwa mojej żony w spełnianiu funkcji życiowych, w dostarczaniu mu snu, kiedy się kładła obok mnie przebrana w zwiewną, nocną koszulę, w zadawaniu mu bólu, gdy przypadkowo oblała sobie dłoń wrzątkiem, w ujmowaniu tego bólu, kiedy smarowała pęcherze na palcach spirytusem.

Wszystkiego, co doświadczała Magda, doświadczało także nasze dziecko, usługiwało mi, było na żądanie w pełnym znaczeniu tego słowa, chociaż nie było zdolne, aby pojąć sens tych posług i zachcianek: przecież i ja równie nieświadomie usługiwałem ojcu przed moim urodzeniem, kiedy się jeszcze nie dało ściśle wyodrębnić moich doznań od doznań matki, byłem w służbie ojca, bo jadłem jego chleb, gładziłem mu włosy i skronie, kiedy wracał

Dalszy ciąg na str. 5

ze ŚWIATA

Tak więc wkroczyliśmy w rok 1965. Rok, który tuż przed sylwestrowymi wiwatami i toastami poprzedziły wydarzenia, mogące mieć określone reperkusje w świecie politycznym. Mam tu na myśli głównie propozycję Polski w ONZ zwołania konferencji krajów europejskich nt. bezpieczeństwa, a następnie wizytę min. Rapackiego w Londynie, oraz wybory prezydenckie we Włoszech.

Tym dwom wydarzeniom wypada w nowym roku poświęcić pierwszy komentarz. Autor czyni to z tym większą przyjemnością, że obydwa mają podstawy do optymizmu, co u progu roku może urastać do miary symbolu.

„Naprężenie między Wschodem i Zachodem ulega dalszemu zmniejszeniu... a Rapacki zaczyna ponownie działać" — w takich słowach wypowiedział się o aktualnej sytuacji i polskiej aktywności na arenie międzynarodowej angielski „Daily Mirror".

Wtórowały mu liczne inne dzienniki zachodnie, z których wymieńmy jeszcze:

— „Timesa"; stwierdzającego, że „głównym tematem polityki Polski pozostaje teza, iż prawdziwe porozumienie w Europie może nastąpić jedynie poprzez zmniejszenie napięcia, co byłoby wynikiem kolejnych etapów rozbrojenia".

— i „Guardian", w którym to piśmie czytamy: „Rapacki jest nieznużony w powtarzaniu, iż MLF zmieniłyby zasadniczo równowagę polityczną w Europie"... Proponowana przez niego konferencja byłaby „najlepszym sposobem zastrzyknięcia większego realizmu".

Właśnie wielostronne, czy też atlantyckie — jak chcą Anglicy — siły nuklearne były zasadniczym tematem londyńskich rozmów min. Rapackiego.

Powstanie takich sił — o czym niejednokrotnie pisaliśmy — oznaczałoby, że zamiast na drodze rozbrojenia — świat nadal rozwijałby się na drodze wyścigu zbrojeń nuklearnych, z wszystkimi tego następstwami.

Oto dlaczego tak zdecydowanie opowiadamy się przeciwko różnym ich wariantom, a w życzeniach noworocznych Władysława Gomułki znalazło się i następujące: „ABY SKOŃCZYŁY SIĘ FIASKIEM WSZYSTKIE ZAMIERZENIA ROZPRZESTRZENIANIA BRONI JĄDROWEJ, CZY TO W POSTACI WIELOSTRONNYCH CZY TEŻ ATLANTYCKICH SIŁ NUKLEARNYCH NATO".

Jak wiadomo, multilateralne siły wzbudziły na Zachodzie bardzo silne kontrowersje i Johnson zmuszony został pozostawić Wilsonowi wolną rękę co do przekonania sojuszników o projekcie brytyjskim, który choć „rozwadnia" nieco siły NRF, przecież nie pozbawia jej udziału w tej niszczycielskiej broni.

Co z tego wszystkiego wyniknie na Zachodzie — trudno przewidzieć. Niektóre dzienniki, a wśród nich „Washington Post" zaczynają wątpić, czy siły te w ogóle powstaną.

„Ani wilsonowskie atlantyckie siły jądrowe — pisze wspomniane pismo — ani wielostronne siły jądrowe Waszyngtonu, czy też jakakolwiek zrewidowana ich wersja nigdy nie przyjmą formy układu, a nacechowane kłótniami poszukiwania sojuszniczej polityki jądrowej załamią się".

To przeświadczenie może być dużym sojusznikiem polskiej propozycji, zgłoszonej na Sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ.

Od spraw ogólniejszych — przejdźmy do szczegółowszych. Tym ważnym „szczegółem" ostatniego okresu były wybory prezydenckie we Włoszech.

Jeden z największych kryzysów w historii tego kraju, wymagający aż 21 tur głosowania, zakończył się — jak naszym Czytelnikom wiadomo — wyborem socjaldemokraty Saragata, dotychczasowego ministra spraw zagranicznych. W decydującej fazie otrzymał on 646 spośród 927 głosów. W liczbie popierających tę kandydaturę znalazło się również 253 komunistów, którzy po oświadczeniu Saragata: „Mam nadzieję, że kandydaturę tę poprą wszystkie antyfaszystowskie i demokratyczne ugrupowania" — przeważyli szalę.

Tak więc chrześcijańska demokracja wyszła z wyborów zwyciężona i poniżona. Ze wszystkich sił chciała ona bowiem początkowo doprowadzić do wyboru jednego ze swoich ludzi, a kiedy to okazało się niemożliwe — godziła się z wyborem Saragata, ale nie głosami partii komunistycznej). Tymczasem z prostego rachunku wynika, że stało się wręcz odwrotnie.

Komentując wynik wyborów francuski „Combat" pisze:

„Wewnętrzne rozbicie chrześcijańskiej demokracji posunęło się tak daleko, że pozwoliło komunistom zapewnić wybór Saragata... Oznacza to, że rząd centrolewicowy wyjdzie poważnie osłabiony z tych wyborów, a chrześcijańska demokracja — rozbita".

A to jest fakt pierwszy. A drugi? Dostrzega go „New York Times" ubolewając: „Komuniści i socjaliści znowu znaleźli się razem".

Dla nas wybory prezydenckie we Włoszech są przede wszystkim dowodem wzrastającej siły partii komunistycznej. Wykazały to ubiegłoroczne wybory samorządowe, a potwierdziły — prezydenckie.

I to jest drugi powód, dla którego początek roku możemy uznać za pomyślny...

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

16—31 GRUDNIA 1964

● Przewodniczący Senackiej Komisji Sił Zbrojnych senator Richard B. Russell poddał krytyce amerykańską politykę w Wietnamie płd. Senator stwierdził: „Stany Zjednoczone zrobiły fatalny błąd angażując się w Wietnamie. Nie wiem, w jaki sposób możemy się teraz stamtąd wycofać. Jednakże nadszedł moment, w którym musimy ponownie przeanalizować naszą pozycję".

● W dwudziestej pierwszej, decydującej turze wyborów prezydenckich we Włoszech, na urząd prezydenta wybrany został Giuseppe Saragat. Komentatorzy agencji przyznają, że o sukcesie Saragata zadecydowały głosy deputowanych komunistycznych.

● Przewodniczący Rady Obrony NRF i minister do zadań specjalnych Rządu Federalnego Heinrich Krone, zażądał prawa współgłosu dla NRF w decyzjach o broni atomowej Zachodu, nazywając obecny stan, gdy Bonn nie posiada takiego prawa, jako „stan ciężki do zniesienia". Agencje zwracają uwagę na oficjalny charakter wystąpienia bońskiego polityka.

● Według oświadczenia brytyjskiego sekretarza do spraw handlu przy chargé d'affaires w Pekinie Stewarta Rossa, ChRL sprowadza w chwili obecnej około 60 procent swego importu z krajów zachodnich. W 1955 roku ¾ chińskiego przywozu przypadało na kraje socjalistyczne.

● Moskiewskie „Izwiestia" zamieściły artykuł A. Boczarowa pt. „Mądry przyjaciel czytelnika", podejmujący problem przywrócenia pełnego zaufania czytelnika do opinii krytyki literackiej i kulturalnej. Aby mieć autorytet, krytyka powinna kierować się nadrzędnymi interesami narodu nie zaś interesami grupowymi lub koniunkturalną „polityką w dziedzinie literatury" — stwierdza w zakończeniu autor.

● Cała prasa pekińska opublikowała pełny tekst odpowiedzi premiera PRL Józefa Cyrankiewicza na list premiera Czou En-laja z 17 października 1964 r. w sprawie wszechstronnego zakazu i całkowitego zniszczenia broni jądrowej.

● Na marginesie niedawno zakończonej paryskiej sesji NATO, na której rozpatrywana była między innymi sprawa tzw. WSN (wielostronnych sił nuklearnych), komentatorzy francuscy zgodnie stwierdzają, iż bilans debaty paryskiej jest bardzo skromny i tłumaczy się jedynie troską „aby przede wszystkim nic nie uległo pęknięciu". Dziennik „Combat" stwierdził wprost: „Impas wokół WSN prowadzi do pogłębienia napięcia między Paryżem a Waszyngtonem".

● W przemówieniu wygłoszonym w Phan Penh premier rządu Kambodży książę Sihanouk oznajmił, iż ChRL wyraziła gotowość dostarczenia armii kambodżańskiej sprzętu wojskowego. Premier ostrzegł rząd USA przed możliwością zerwania stosunków dyplomatycznych, jeśli ataki ze strony Wietnamu płd. na pograniczne rejony Kambodży będą ponawiane.

● Powodem kolejnej irytacji kół bońskich stała się decyzja dwóch firm amerykańskich sprzedania NRD licencji i urządzeń do produkcji tworzyw sztucznych.

● W komentarzach z ostatniej sesji Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych zwraca się uwagę na fakt zasiadania w tym organie byłego cesarza Pu-I. Parlament ChRL jest jedynym w krajach socjalistycznych, a nawet na świecie, liczącym wśród swoich członków cesarza.

● Irak i ZRA powołały egipsko-irackie „dowództwo polityczne" składające się z 25 osób (13 reprezentuje ZRA, 12 Irak), które ma za zadanie koordynowanie działań obu krajów w dziedzinie wojskowej, politycznej, gospodarczej, kulturalnej i w zagadnieniach polityki zagranicznej. W skład „dowództwa politycznego" wchodzą między innymi prezydenci obu państw Nasser i Aref.

● Z dniem 1 stycznia br. rozpoczął działalność Czechosłowacki Bank Handlowy. Udziałowcami Banku są m. in. centrale handlu zagranicznego, przedsiębiorstwa produkujące na eksport, spółdzielnie itp. Do zadań Banku należy działanie na rzecz dalszego usprawnienia i rozwoju czechosłowackiego handlu zagranicznego.

● Moskiewski korespondent Reutera informuje, iż jak oznajmił mu w rozmowie telefonicznej oficjalny przedstawiciel wydawnictwa „Sowietskij Pisatiel", w roku przyszłym ukaże się pełne wydanie utworów poetyckich Borysa Pasternaka.

● Francuski Instytut Badania Opinii Publicznej rozpisał ankietę w sprawie popularności de Gaulle'a wśród społeczeństwa. 56 proc. osób wyraziło zadowolenie z powodu, że de Gaulle jest prezydentem Republiki, 31 proc. wyraziło niezadowolenie, 13 proc. nie ma sprecyzowanego zdania.

● Jak doniosła czechosłowacka agencja CTK, w 1965 roku ukaże się w
wacji szereg no
pism, a nakłady
niektórych ukaz
już periodyków u
szeniu.

● W stolicy
Santiago odbył się
dzieży Łacińsko
skiej na rzecz
więźniów polityczn

● „Nie lubimy ni
nych uwag. Mamy swoją
ność i nie wymienimy jej
za 50 milionów funtów" —
oświadczył prezydent Nasser
w związku z sugestią Stanów
Zjednoczonych udzielenia ZRA
pomocy ekonomicznej pod
warunkiem zmiany egipskiej
polityki zagranicznej, szczególnie zaniechania pomocy
wojskowej dla powstańców
kongijskich.

● W dotychczasowej debacie generalnej XIX sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ zwraca uwagę fakt zdecydowanej przewagi mówców z
krajów afro-azjatyckich oraz
defensywnej postawy bogatych krajów Zachodu. Istotnym rysem tej debaty było
wyjątkowe nasilenie akcentów antyzachodnich, zwłaszcza antyamerykańskich.

● Z początkiem br. w kilku przedsiębiorstwach przemysłowych (w tym i przemysłu ciężkiego) sownarchozu lwowskiego rozpocznie się
ważny eksperyment ekonomiczny oparty na koncepcjach
ekonomicznych prof. Uniwersytetu Charkowskiego — E.
Libermana. Eksperyment polega na przyjęciu za główny
miernik działalności przedsiębiorstwa wskaźników: produkcji w naturze i zysku. Utrzymuje się, że upowszechnienie
tej zasady (w wypadku jej
powodzenia) pociągnie radykalne zmiany w całym systemie planowania produkcji
przemysłowej.

● Rząd H. Wilsona zaprosił A. Kosygina i L. Breżniewa do złożenia wizyty w Wielkiej Brytanii. Zaproszenie zostało przyjęte tylko
przez A. Kosygina, gdyż, jak
miał on oznajmić Brytyjczykom, sprawa stosunków z krajami Zachodu należy do zakresu kompetencji radzieckiego premiera.

● Krytykując koncepcję rozszerzenia konfliktu na
Wietnam północny Walter
Lippmann pisze: „Jeślibyśmy
ruszyli na północ i wszczęli
bombardowanie i tak nie będzie silnego antykomunistycznego rządu w Sajgonie. Natomiast stoimy wobec prawdopodobieństwa, że budząc się
pewnego poranka zastaniemy
nowy rząd, który poprosi nas
o opuszczenie kraju, a sam
rozpocznie pertraktacje pokojowe z Hanoi".

● Obserwatorzy wojskowi w Leopoldville utrzymują, iż wojska powstańcze dysponują obecnie większą ilością karabinów i większą siłą ognia aniżeli armia Czombego.

● Wkrótce król Jordanii Hussein zamierza złożyć wizytę prezydentowi Nasserowi. Przedmiotem rozmów obu mężów stanu mają być sprawy wzajemnych stosunków międzypaństwowych oraz problemów świata arabskiego.

● „Żałuję, że nie urodziłem się proletariuszem" — książę Norodom Sihanouk.

● Angielska prasa podaje, że 400.000 moskwiczan przeprowadziło się w 1964 roku do nowych mieszkań. Plany na rok bieżący przewidują wybudowanie 120.000 izb.

● Na zamówienie armatora norweskiego, stocznie japońskie przystąpiły do budowy tankowca, którego wyporność 160.000 BRT, czyni go największą jednostką pływającą na świecie.

● Jak doniosły agencje prasowe, Indonezja zamierza wycofać się z ONZ. Formalnym powodem tej brzemiennej w następstwa decyzji politycznej było przyjęcie Malazji w poczet niestałych członków Rady Bezpieczeństwa.

Próba planu Wilsona...

POLONICA

POLONICA

NOWY NUMER „MICKIEWICZ — BLÄTTER"

Ostatni ubiegłoroczny numer „Mickiewicz — Blätter", pisma, które pod redakcją Hermanna Budensiega ukazuje się od r. 1955 w Heidelbergu, przynosi znowu bogatą porcję przekładów z literatury polskiej. Numer otwiera artykuł Stefanii Skwarczyńskiej pt. „Literacki portret Mickiewicza, pióra Davida d'Angersa". Dalej w numerze znajdują się: artykuł Bohdana Suchodolskiego na temat szkolnictwa i problemów wychowania w Polsce, Wilhelma Feldmana pt. „Wesele Wyspiańskiego jako satyra przeciwko dekadencji" oraz przekłady z Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Jana Kasprowicza, Elizy Orzeszkowej; a także autorów współczesnych: Marii Dąbrowskiej, Olgierda Budrewicza, Sławomira Mrożka, Juliana Przybosia, Włodzimierza Słobodnika, K. I. Gałczyńskiego, Adama Ważyka i Jana Kotta.

POLSKA SZTUKA DZISIAJ

Z powodu wystawy malarstwa i grafiki polskiej w Bochum, Rolf Portmann napisał obszerny artykuł pt. „Polska sztuka dzisiaj" na łamach „Die Andere Zeitung" (Hamburg) z 3 grudnia 1964 r. Jak się dowiadujemy z tego artykułu wystawa obejmuje 160 pozycji malarstwa i grafiki 34 autorów. Recenzent kończy swój artykuł słowami: „Tych kilku wymienionych tu artystów mówi za wszystkich pozostałych, których znakomite prace, wystawione w Bochum, są jakby pomostem, przerzuconym z kraju do kraju i od człowieka do człowieka".

Artykuł ozdobiony jest reprodukcją obrazu Jerzego Nowosielskiego pt. „Portret akrobatki".

POŻYTECZNY MIESIĘCZNIK

Czwarty numer miesięcznika pn. „Begegnung mit Polen" (Spotkanie z Polską), wydawanego w Düsseldorfie, które, jak wskazuje podtytuł, chce służyć idei porozumienia niemiecko-polskiego, przyniósł sporo materiału niemieckich i polskich autorów. Spośród Polaków Ryszard Matuszewski publikuje wypowiedź nt. „Rozwój literatury polskiej po roku 1945", Julian Przyboś — wiersz pt. „Spotkanie" (w przekładzie Karla Dedeciusa) a Wiktor Woroszylski — krótką miniaturę prozą pt. „Muzyka". Ponadto pismo drukuje nowelę Henryka Sienkiewicza „Janko muzykant", krótki artykulik o Tadeuszu Kulisiewiczu i reprodukuje jeden z jego rysunków. Oprócz tego, jak zwykle, znajduje się dział recenzji książek polskich i niemieckich, traktujących o Polsce, aktualna kronika polskich wydarzeń literackich, muzycznych, plastycznych i politycznych.

SZWEDZKA KSIĄŻKA O POLSCE

Szwedzki pisarz, Folke Isakson, wydał w Sztokholmie poemat prozą pt. „Warszawa". Krytyka uznała tę książkę za najwyższe osiągnięcie literackie autora. Zarówno prasa codzienna jak i tygodniowa pisze o niej z entuzjazmem. Autor, który odwiedził Polskę, zbierając w niej materiał do swego utworu, jest zdania, że Polska może odegrać dużą rolę w dzisiejszym świecie jako pośrednik między kulturą Wschodu i Zachodu. Jedna z gazet napisała o książce Isaksona: „Kto chce przeżyć dzisiejszą Warszawę i Polskę, winien kupić i przeczytać ten utwór".

Dalszy ciąg ze str. 1

Kutnowską glebę zżerała susza, wyczerpywało pragnienie, które nie mogło być ugaszone.

Taka gleba rodzi mało, albo nie rodzi niczego.

Nie uderzam jednak w duży dzwon o Kutno, choć może by i warto. Kwestia ma bez porównania szerszy zasięg. Rozwidla się, biegnie przez inne powiaty, województwo, kraj, przez wszystkie kontynenty. Ma globalne wymiary. Kutno jest tylko przyczynkiem do zjawiska obserwowanego w najzamożniejszych, najlepiej zagospodarowanych krajach świata. Oglądałem w „Newsweek" interesujący wykres. Na nim oznaczona czarną linią, wielka chmura przesuwająca się z Nowej Anglii, przez Nowy Jork do Chicago.

Pod wykresem suchy napis — Dry spell — gigantyczny pas suszy.

Mnóstwo informacji, straty w rolnictwie wynoszą już 100 milionów dolarów. W miastach puste krany. Rada Miejska w Nowym Jorku ostrzega, że kto umyje samochód pod hydrantem, zapłaci 500 dolarów grzywny. Kara drakońska. Cóż jednak ma robić biedna rada w najbogatszym mieście świata, skoro woda, jak w Warszawie, do wyższych pięter nie dochodzi.

Bez wody nie ma życia, jest pustynia.

Proszę darować ten wybitnie nudny banał. Jest potrzebny jako furtka, punkt wyjścia ku dalszym rozważaniom. Po to, żeby wyprodukować tonę stali w hucie Górnego Śląska trzeba zużyć 400 ton wody. Na to, aby upiec bochenek chleba z kutnowskiej pszenicy, trzeba 2 tony wody. Pod uwagę brany jest oczywiście cały cykl. Od momentu wysiania ziarna w wilgotną glebę. Można by tak długo śpiewać hymn na cześć wody. Uczony francuski dr Guston ujawnił niedawno, że człowiek nim umrze, wypija średnio 100 000 litrów wody.

Na ludzkich potrzebach wcale się nie kończy.

W jednym województwie łódzkim trzeba prócz tego napoić 600 tysięcy krów, 700 tysięcy świń, 350 tysięcy owiec, 170 tysięcy koni... Czy jest gdzie większa pijanica od krowy? Włosy jeżą się na głowie. Wiadro wody to tyle dla krowy, co kieliszek dla dwunożnika. Albo koń. Żłopie i żłopie, skończyć nie może. Starczy? Owszem, ale coś się wydaje, że autor majaczy, że cały ten wodny problem wyssał ze swego palca. Nigdzie przecież zwierzęta nie padają z pragnienia. Jakoś popychamy sprawy naprzód. Żyjemy.

Fakty na stół, braciszku, nie zawracaj nam głowy Kutnem i krową pijanicą.

Susze zdarzają się, są nieuniknione.

To prawda, susze mają charakter incydentalny. Przychodzą i odchodzą. Ale spod Kutna odejść nie chcą. Posucha nawiedza olbrzymie połacie od Łodzi aż po Wisłę z regularnością, która nie może nie zaskakiwać. To najsuchsze obecnie rejony w całej Europie środkowej, zachodniej i północnej. Tak skąpo zraszane deszczem są tylko pewne okręgi Hiszpanii oraz prawie bezludnej Laponii. Kto wątpi, niech zajrzy do ostatniej części „Atlasu Świata" strona 71. Ujrzy zastanawiającą w swej tragicznej wymowie mapę. Na północ od Łodzi zobaczy białą plamę. To rejon chronicznego braku opadów. Suszy.

Brak wody występuje zresztą wszędzie. Nie da się zlokalizować tylko pod Kutnem.

Jedna wieś tonie w wodzie, a druga, przez miedzę, więdnie z suchości powietrza, jak to się powiada. Całe Nierzankowice czerpią wodę z jednej tylko studni. W Podulach też z jednej. W Stępowie strumyk jest studnią. Z Łaszewa ludzie jeżdżą po wodę dwa kilometry. Procesja wozów z beczką pośrodku jak ze świętym pańskim. Przeszło 25 tysięcy gospodarstw chłopskich w województwie nie posiada studni!!! Kobieciny chodzą za wodą do sąsiadów, do rzeki, strumyka, sadzawki. Rety, co się stało. Istniał ongiś dobry zwyczaj, że nim chłop brał cegłę do ręki, wpierw wywieszał wiechę na studni.

Urywek z raportu Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnych:

— Zupełnie pozbawione wody są 383 wsie. Co druga wieś ma za mało wody, żeby było można ugasić poważniejszy pożar. Straty są wielkie. PZU wypłacił w roku ubiegłym 107 milionów złotych tytułem odszkodowania za straty ogniowe...

Problem wodny w przeliczeniu na straty spowodowane tylko pożarem wart jest 100 milionów złotych.

W jednym województwie łódzkim.

Następstwa braku wody są jednak daleko szersze. Rozprzestrzeniają się lawinowo na zasadzie reakcji łańcuchowej. Spadają plony zbóż, warzyw, okopowych, mniej

MY WODĘ CZY PIASEK NAS?

mleka dają krowy, mniej owoców sady. Więcej jest za to chorób, epidemii. W Walewicach, siedzibie pięknej pani Walewskiej brano wodę do picia ze strumyka. Skutek? Dur brzuszny. W Krześlowie brano wodę z rowów melioracyjnych. Skutek? Dur brzuszny. W wioskach nad Wartą pojono bydło w rzece. Gdzie miano poić. Więc pryszczyca. W Woźnikach, dla odmiany gruźlica. Krowiny tak długo chlipały z mętnego zdroju, aż zaraziły się wszystkie.

Gdyby żył Prus, mógłby pewne stronice „Faraona" napisać z autopsji w Jelnie.

Chłopi wychodzą tam przed próg i wpatrują się bez słowa w niebo. Taki tu już zwyczaj, że każdy głowę zadziera. Gdy słońce świeci cały miesiąc i wcale nie chce przestać, wówczas cała wieś spogląda w niebo. Wieś czeka na czarną noc z wielkim deszczem. Taka noc nadchodzi. Kto żyw zrywa się wtedy na równe nogi, pędzi na dwór, na deszcz i słotę. Wyciąga cebrzyki, garnki, wiadra... Sprytniejsi urządzili się sprytniej. Łapią wodę w zbiorniki z gliny. Woda spływa z jednej glinianki do drugiej, czyści się po drodze, filtruje. Hojnym deszczem zmocz Panie Jelno, w zimie pokrop śniegiem...

Szuka się wody w chmurach, szuka też pod ziemią.

W Topoli Królewskiej wtedy dopiero zapachniało wodą, gdy wydrążono otwór 600-metrowej głębokości.

A z odwiertami na dużej głębokości trzeba diablo ostrożnie.

„Ziemia to zwierzę — pisał Wells — od nagłego ukłucia lubi się wzdrygnąć". Koło Poddębic wywiercono studnię w ramach badań geofizycznych. W złe miejsce ukłuto. W Plewkach, Witkowicach i jeszcze 10 wioskach wyschły nagle studnie. Wszystkie. Suche dno pokazały też studnie w Zygrach. Trafiono świdrem nie tam gdzie trzeba. Nieprzemyślana ingerencja w stosunki wodne grozi katastrofą. Sidła cywilizacji? Zaułek bez wyjścia?

Skądże, mamy warunki, by rozbić wodny węzeł bez atomu.

Bzura, Pilica, Warta co roku wtłaczają bezużytecznie do morza 3 mld m^3 wody, którą można by użyźnić 618 tysięcy hektarów ziemi. Prawie 70 procent gruntów ornych województwa. Jakież rezerwy tkwią w rzeczkach, strumykach! Prawdziwy ocean faluje na głębokości 200—600 metrów pod ziemią. Gdyby znalazła się laska Mojżesza, można by stuknąć i milion źródeł by trysnęło.

Woda jest, tyle, że ma pancerz z ziemi.

Dokumentalne zdjęcie z połowy ubiegłego wieku. Gdzieś tam na bezbrzeżnej pustyni Australii grupa obrośniętych mężczyzn w kowbojskich kapeluszach. Co za ponura sceneria. Szary piasek, wydmy, śladu roślinności. I ta grupka nieprawdopodobnie utrudzonych ludzi. Niemal widać, że słaniają się na nogach, że im pot zalewa oczy. Uwiązani do czegoś w rodzaju kołowrotu kręcą korbą jak straceńcy. Chudzi, wyschnięci jak tykwy, z obłędem na twarzy. Czego szukali na pustyni? Złota? Nie, szukali wody. Wiercili studnię artezyjską, jedną z tysięcy. Tak się zaczęło na piątym kontynencie. Czym się skończyło, wszyscy dobrze wiemy. Stopa życiowa w Australii jest wyższa niż w Stanach Zjednoczonych. Z ubiegłowiecznej mordęgi pod tropikalnym słońcem, odcinają teraz pod Melbourne kupony.

Wydajność australijskiego farmera jest niesamowita.

Gdzieś czytałem, że ten farmer na wyprodukowanie jednego kwintala pszenicy zużywa 40 minut. Prawie 10 razy mniej niż rolnik włoski, 40 razy mniej niż filipiński. Pewnie, że australijskie rolnictwo wie co to „łaska i smazka" co to maszyna. Wpierw jednak pomyślano o wodzie. Prosperity tego kontynentu oparło na systemie wodnych irygacji. Wodny fundament okazał się twardy. Twardszy niż piasek i skała. Mogli oni, możemy i my. Nie tylko możemy, lecz już musimy.

Era wodociągów świta również na łódzkiej wsi.

O ile mnie pamięć nie myli, początek zrobił Kurzeszyn koło Rawy Mazowieckiej.

Byłem. Rzutki, energiczny gospodarz opowiadał:

...ten bauer furt się natrząsał. Gadał, że mu pierwej włosy wyrosną na żopie niż w zasr.... Polsce chłopi będą mieć wodociągi. Pomyślałem sobie, zaczekaj no Szwabie, niech tylko skończy się wojna, niech tylko wyjdę z niewoli, to jeszcze moja wioska pokaże co i jak...

Byłem też w Kurzeszynie, gdy uruchamiano hydrofor. Chwila uroczysta, długo oczekiwana. Chłopi na wzniesieniu, zgromadzeni przy wieży ciśnień. Kobiety w dole, w kuchni, przy kranach. Pocieknie ta woda, czy nie pocieknie? Trysnęła. Kurzeszyn to dziwna wioska, nietypowa. Jest pogrążona w sadach, zieleni, truskawkach. Domy niczym wille w Zakopanem. Piętrowe z werandami — wygody jak w mieście. Nowe to wszystko, solidne, przyjemne dla oka. Co to jednak znaczy woda dla chłopa!

Problem wody mogą rozwiązać w sposób radykalny tylko wodociągi.

Starożytni też zaczynali od monumentalnych akweduktów. Całe imperium było spięte klamrą kamiennych wodociągów. Gdy klamra pękła, padło też imperium. Tak jakby huragan przeszedł, po którym zostały wymarłe miasta. Babilon też padł. Przedtem jeszcze o wiele ciekawszy Sumer. Co za lekcja. Gdyby ode mnie zależało, to bym wszystko zawiesił na kołku. Zaczął od wody i od nawozów. Te dwa czynniki woda plus nawozy same zarobią na ten trzeci — na maszyny. Trąci przecież jakąś niesłychaną bzdurą, że wykładnikiem postępu i zamożności może być na wsi telewizor, motocykl, nawet auto, a nie zwykły kran z wodą.

Pocieszam się jednak myślą, że wreszcie zaczęła się jedna z najdramatyczniejszych wojen w historii Polski.

Jest to narodowa wojna o wodę.

Z wodociągów korzysta już kilkanaście wiosek województwa. Do 1970 roku nakładem 200 milionów złotych, wodociągi uzyska jeszcze 80 wsi. Przy pomyślnej aurze. Nie są to liczby, które by mogły kogokolwiek przyprawić o zawrót głowy. Ale o wodzie dla rolnictwa myśli się na serio. Nie traktuje się już tej kwestii per noga, nie spycha na margines via tysiąc i jedna konferencja. Woda jest potrzebna. Nad czym tu debatować? Kołowroty i żurawie chciałoby się podziwiać. Na duererowskich sztychach. I w skansenach.

Wojna o wodę.

To nie są czcze słowa. Już dzisiaj brakuje nam wody. Ten brak będzie się uwielokrotniał w miarę industrializacji, przyrostu ludności, w miarę rozwoju gospodarki w ogóle. Po świecie krąży widmo braku wody. To widmo mi się przyśniło. Brr, co za klimat wlokło na swych skrzydłach. Sahara przerzucona na Biegun Północny, uniesiona 30 kilometrów ponad poziom morza. Klimat jak na Marsie. Dziękuję... Cywilizację można budować tylko na wodzie. Korelacja między poziomem życia a ilością wody jest faktem tak oczywistym, że pisząc o tym, sam się rumienię. Więc jak, kto kogo? My wodę, czy piasek nas?

Kończę refleksją optymistyczną.

Pod Chocimem było na remis, dlaczegóż mielibyśmy zrejterować nad Widawką? Byle tylko ktoś nie obciął kredytów i nie orzekł, że inwestycje wodne są tak mało spektakularne, że mogą poczekać.

A wojnę o wodę wygramy.

JAN BĄBIŃSKI

W XXII rocznicę powstania ZWM

AKCJA

Ostry dzwonek telefonu poderwał nas z legowisk. Właśnie we trzech zasypialiśmy na podłodze owinięci kocami. Nie chciało się wstać. Grudzień. Noc. Śnieg walił od rana, ostre szpileczki miotane wiatrem przez kilka godzin nie dawały nam spokoju. Ledwo zdążyliśmy odtajać po powrocie z terenu, a tu znowu coś nowego....

— Zarząd Powiatowy? — dźwięczny, znajomy głos w słuchawce; to towarzysz Sztreker z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Prosił — jak zwykle — o kilku ZWM-owców.

— Nie, nie — pocieszał — nie jest tak źle. Rabunek. Wzięli co się dało. Rozbili posterunek MO. Są szanse...

Akcja. I znowu przestaliśmy być senni. Po paru minutach w pełnym uzbrojeniu Korzeniowski i ja siedzieliśmy w pudle wojskowej ciężarówki.

Zimno. Mocno zużyte ubrania nie chroniły przed zimnem. Większość chłopców z KBW to ZWM-owcy. Nie każdy miał doświadczenie w walce z podziemiem. Nawet frontowcy, otrzaskani z otwartą walką, tu czuli się nowicjuszami. Tu nie było jednolitego frontu, nieprzyjaciel atakował znienacka. Skok — rabunek — napad — ucieczka — bez przyjęcia walki, by za dzień, dwa, dokonać następnego wypadu zupełnie gdzie indziej.

Dojeżdżamy. Zamajaczyła przed nami wieś Sitnica.

Przestraszeni ludzie, tłacza się szkoła, rozbity kompletnie posterunek MO. Ludzie wyciągają ręce, płaczą dzieci proszą o ratunek. Trudno zdobyć rzeczową informację. Z krzyżowych pytań i odpowiedzi wyłania się wreszcie obraz. Wiadomo gdzie uszli i wiadomo też w przybliżeniu, oczywiście, ilu ich było.

A tu nagle do naszych uszu dochodzi jękliwy głos dzwonów pobliskiej cerkwi. Ktoś dawał sygnał bandytom o naszej obecności. Szybka decyzja. W pościgu forsowny marsz — teren jest górzysty. Nisko leży mgła. Niepewność czy zaskoczą oni nas, czy my ich — męczy bardziej niż wspinaczka. Wyobraźnia każe widzieć za każdym krzakiem przeciwnika. I wreszcie powoli wyrasta pasmo lasu. Cisza pęka, las pluje kolorowymi pociskami, grają karabiny maszynowe. Teraz ogniem zieje już nie tylko las — strzelanina wszędzie. Zasadzka? Dowódca ocenia sytuację. Ogień z lewej strony słabszy. Idziemy do przebicia. Bandyci z natarcia przechodzą do obrony. Padają nasi chłopcy. Osiągnąć las — kołacze w głowie. Las. Za wszelką cenę las!

Nareszcie upragnione drzewa. Bandyci wycofują się. Zostają wystraszone krowy, podwody, zabrane mienie. Grupa, która zaskoczyła nas od tyłu, nie zdając sobie sprawy z naszej nowej pozycji, atakuje dalej. Ale my mamy już przewagę, mimo ich znacznie większego stanu liczebnego. Zepchnięci na otwarte pole nie czują się tak pewnie.

Terkocze broń maszynowa, wybuchają granaty. Nam kończy się amunicja. Oznacza to: bandyci mogą odzyskać przewagę. Ale nie, na szczęście nie. Wśród strzałów rozpoznajemy warkot tankietki dowódcy batalionu. Nadeszła pomoc. Przegrupowanie sił, uzupełnienie amunicji, pogoń za rozproszonymi grupami bandytów.

*

W Zarządzie Powiatowym Związku Walki Młodych jeszcze nieraz dzwonił telefon, wzywając o pomoc. Chłopcy szli, jechali — nie każdy wracał. Nie było lekko.

Ile razy wieczorem w zimową noc siedzę sam i dzwoni telefon, zanim podniosę słuchawkę, błyskawica myśli stawia przed oczy tamte dni „akcji".

Widzę chłopców, dziewczęta odchodzących z ZWM bezimiennie — za władzę ludową.

J. STĘPIEŃ

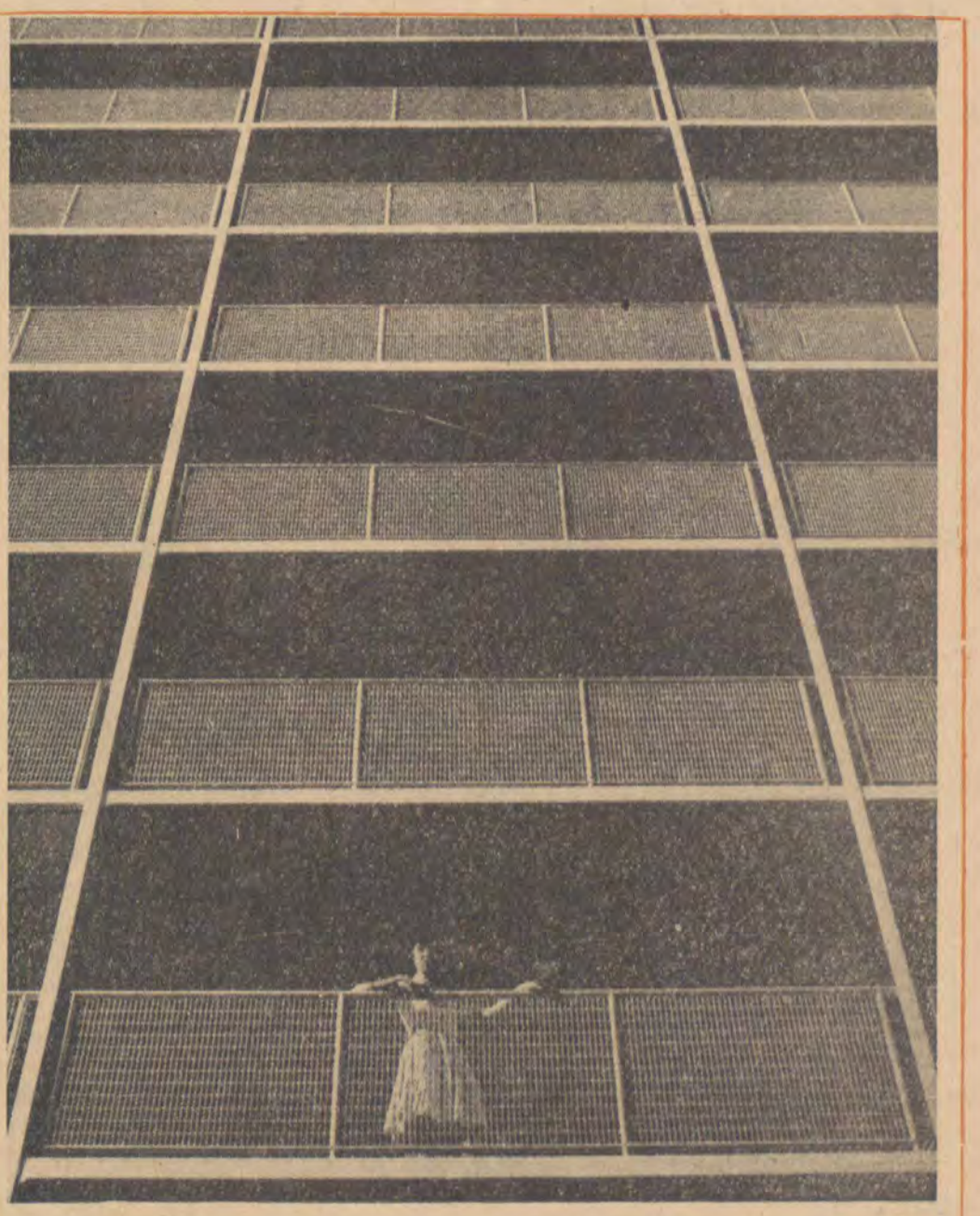

STANISŁAW GICGER

Posiadłość prywatna WSTĘP WZBRONIONY

Choć może się to wydać dziwne, przyjazd z Londynu do Exeter, stolicy hrabstwa Devonshire na południowym zachodzie Anglii, nie przynosi ze sobą specjalnych kontrastów. Już z samolotu angielska metropolia wydaje się morzem niemal identycznych przedmieść rozciągających się na dziesiątki kilometrów, w którym centrum miasta z tak dobrze znanymi z filmów, kronik i ilustracji „Houses of Parliament", „Trafalgar Square" i „Buckingham Palace" po prostu ginie. Tak się złożyło, że po przyjeździe do Londynu zatrzymałem się w Ealing, jednej z takich bliźniaczych dzielnic, zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od centrum, gdzie nie tylko ulice, ale domy i ogródki przed nimi są do siebie bardziej podobne niż dwa drzewa w lesie. Trudniej tu znaleźć jakiś dom znajdując się od niego powiedzmy w odległości 200 metrów, niż oddalony o kilometry obiekt w śródmieściu.

Z londyńskiej Paddington Station do Exeter jest około 285 kilometrów. Pociąg składający się z zabawnie wyglądających, czerwonych wagoników, pokonuje tę trasę w niespełna trzy godziny zatrzymując się po drodze tylko raz, w Taunton. Jedyne słowa, jakie udało mi się usłyszeć przez te trzy godziny, chociaż przedział pierwszej klasy był zapełniony, wypowiedziane były przez konduktora zbierającego (nie kasującego, ale właśnie zbierającego) bilety od pasażerów. Wracając w trzy tygodnie później tym samym pociągiem zdecydowałem się jechać drugą klasą i było to tak, jak gdybym znalazł się w innym kraju: po zwykłym pytaniu o wolne miejsce zaczęło się najpierw ciche odgadywanie, skąd pochodzę, potem padło bezpośrednie pytanie, a rozmowa jaką wywołała odpowiedź, trwała nieprzerwanie aż do celu podróży.

*

Ale wróćmy do Exeter... Jak już powiedziałem, miasto nie różni się na pierwszy rzut oka od któregoś z londyńskich przedmieść. I to pierwsze wrażenie nie byłoby znów tak błędne, gdyby nie historia. Exeter założony został przez Rzymian w pierwszym wieku nowej ery, chociaż ruiny zamku są najprawdopodobniej wcześniejszego, a więc celtyckiego pochodzenia. Jak wszystkie rzymskie miasta miał wtedy kształt prostokąta i był obwarowany. Mury obronne zachowały się zresztą do dziś, lecz rada miejska „wybija" w nich coraz to nowe otwory, by usprawnić komunikację.

Historyczny Exeter — oprócz wspomnianych ruin zamku i murów — to przede wszystkim katedra i ratusz. Katedra pochodzi z XIV-go wieku i jest jedną z dwóch tylko tak jednorodnych w stylu reprezentantek wczesnego angielskiego gotyku. Niezwykłe może wydać się jedynie to, że jej dwie potężne wieże znajdują się w połowie długości nawy. Wyjaśnienie jest jednak proste: stanowią one pozostałość po dwunastowiecznym kościele, którego fronton w czasie rozbudowy znalazł się właśnie w tym miejscu. W pobliżu ciągnie się szereg budynków mieszkalnych z XVI-go wieku.

Ratusz wybudowany został w roku 1330, jednakże jego obecny portyk tarasujący połowę chodnika dobudowany został dopiero w roku 1593. Urzęduje tu najstarszy po londyńskim — oczywiście tradycją tylko — burmistrz w całym Zjednoczonym Królestwie.

*

Ale dla przybysza z Polski ciekawsze okazują się znacznie późniejsze, bo liczące sobie zaledwie dwadzieścia kilka lat pamiątki Exeter. Pierwszą rzeczą, która przykuła moją uwagę w mrocznej sali zabytkowego ratusza, była zwisająca z sufitu po prawej stronie od wejścia wielka flaga: poszarzała i zakurzona, ale jej barwy nie mogły mylić... A za chwilę przewodnik obojętnym głosem wyjaśnił, że jest to dar polskiego Dywizjonu 307, który w czasie wojny stacjonował w pobliżu Exeter. Potem nieraz zdarzało mi się spotykać ludzi, którzy pamiętali polskich pilotów i mówili o nich w ciepły, a nawet serdeczny sposób.

Do dziś w hrabstwie Devonshire znajduje się „polski obóz" zamieszkały przez tych, którzy po zakończeniu wojny nie zdecydowali się na powrót do kraju i do chwili obecnej nie potrafili właściwie znaleźć dla siebie miejsca w społeczeństwie angielskim. Spotkałem jednak w Exeter jednego z tych, którym się to udało. Na początku, jak w starym dowcipie, dziwiłem się jego niecodziennej angielszczyźnie, przynajmniej dopóty, dopóki nie zapytał mnie z nadzieją w głosie: czy zauważyłem, że nie zapomniał polskiej mowy... Nie potrafiłem zdobyć się na zaprzeczenie.

*

Dzisiejszy Exeter liczy około 80 tysięcy mieszkańców. Zakładów przemysłowych tu niewiele, ale za to aż 34 hotele nie licząc mnóstwa pensjonatów; liczne są też restauracje i kawiarnie, jest aż pięć stacji kolejowych (pozostałość po czasach, kiedy koleje były prywatne i każda spółka miała oddzielną linię i dworzec — obecnie czynne są już zresztą tylko dwa: „Central" i „St. David's"). Trzy wielkie domy towarowe i niezliczona ilość sklepów czynią z miasta największy ośrodek handlowy południowo-zachodniej Anglii. Ale kina są już tylko dwa, a stałego teatru nie ma w ogóle. Do pełnego obrazu dodać jeszcze należy młody, lecz szybko rozwijający się uniwersytet, położony w rozległym i świetnie utrzymanym parku. Istniejący tu od 1868 r. „College" uzyskał prawa uniwersyteckie bezpośrednio z rąk królowej w 1955 r. O tej wizycie mówi się tu jeszcze do dziś, a przymiotnik „królowej" figuruje od tej pory w wielu nazwach: na przykład droga, którą jechała królowa, to „Quin's Drive", jeden z nowych budynków uniwersyteckich, pod który kładła kamień węgielny — to „Quin's Building" itp.

*

Wielką ilość hoteli, restauracji i sklepów łatwo tłumaczy fakt, że Exeter jest stolicą Devonu, hrabstwa, o którym powszechnie się mówi, że żadne inne nie może się z nim równać pod względem piękna i różnorodności krajobrazu. Stąd ogromny napływ turystów i wielomilowe korki na exeterskiej szosie — powracający każdego lata temat dla prasy, radia i telewizji.

Południowe wybrzeże Devonu spada skalistymi urwiskami do Kanału La Manche i chociaż na plażach piasek jest tu ogromną rzadkością (zastępują go usypiska „pebbles" — kamieni wielkości jajek), ośrodki wczasowe Torquay, Exmouth, Dartmouth, Beer czy Seaton nigdy nie skarżą się latem na brak turystów. Ku północy krajobraz Devonu staje się pagórkowaty, przy czym dominującym elementem są pastwiska, które zajmują ponad połowę powierzchni hrabstwa. Jeszcze wyżej ku północy rozciągają się dwa rozległe płaskowyże: Dartmoor i Exmoor. Są dzikie i prawie bezludne, pokryte wrzosowiskami, i tylko gdzieniegdzie rysują się na horyzoncie wielkie nagie skały o dziwnych kształtach. Szczególnie znany jest płaskowyż Dartmoor: w równej chyba mierze ze względu na położone tu, słynne w całej Wielkiej Brytanii więzienie, jak i na liczne zabytki prehistoryczne. Pod tym drugim względem Dartmoor jest jednym z najważniejszych regionów kraju.

Najciekawszymi chyba i jednocześnie najliczniejszymi zabytkami są ruiny kolistych chat sprzed 25 do 35 wieków. Na całym obszarze Dartmoor zachowało się ich około 1 300, zgrupowanych w osadach otoczonych murem. Oglądałem jedną z takich osad zwaną Grimspound: składała się ona z 24 chat zamieszkałych ongiś w epoce Brązu przez rolników i hodowców. Mur otaczający wioskę służył zapewne do spędzania owiec w określonych porach roku i — podobnie jak same chaty — zbudowany był z granitowych głazów. W siąpiącym stale dżdżu kamienie te, do połowy pokryte bujnym wrzosem, sprawiają dziś smutne wrażenie.

Kto znajdzie się w Devonie, trudno mu oprzeć się pokusie i nie odwiedzić sąsiedniej Kornwalii. A największą chyba atrakcją Kornwalii są ruiny zamku, w którym według podania urodził się król Artur i z którym związana jest legenda o Tristanie i Izoldzie. Ruiny znajdują się na dzikim, skalistym przylądku Tintagel Head, który łączy ze stałym lądem wąziutka przełęcz. Resztki murów są tak rozmyte przez deszcze, że często wydaje się, jak gdyby same były częścią skał. Trudno się właściwie dziwić, skoro według dokumentów z pierwszej połowy XVI wieku, zamek już wtedy znajdował się w ruinie. Urok legendy sprawia jednak, że turyści przyjeżdżają tu tłumnie, a w pobliskiej osadzie Tintagel każda nazwa, od restauracji i hoteliku do ogromnego parkingu, związana jest z królem Arturem.

*

Nieodłącznym elementem angielskiego krajobrazu są żywopłoty. Nawet znając ogólną ich długość, która wynosi 616 tysięcy mil czyli 998 tysięcy kilometrów, trudno sobie wyobrazić, ile ich jest i jakie piętno wyciskają na krajobrazie. A w Devonie żywopłoty są szczególnie wysokie. Można więc iść drogą przez dwie, trzy godziny i niewiele zobaczyć poza dwoma ścianami zielonego wąwozu, ścianami nie do przebycia, gdyż u ich stóp dziko plenią się krzewy jeżyn.

A jeśli napotka się już jakiś dom — na płocie lub furtce nieodmiennie wisieć będzie tabliczka z napisem: „Private, keep out!" — „Posiadłość prywatna, wstęp wzbroniony!" Czasem napis jest sformułowany jeszcze ostrzej, ale zawsze działa nie mniej skutecznie niż krzewy jeżyn...

Pomimo to ludzie na zewnątrz swych domów są mili, przyjaźni i gościnni — szczególnie, jeśli cudzoziemcowi nie brak pieniędzy...

*

Ludzie, to zawsze temat, który dziennikarza interesuje bardziej niż historyczne zabytki czy najpiękniejszy nawet krajobraz. Trzy tygodnie to niewątpliwie zbyt mało, by bliżej ich poznać, ale mimo to można i w takim okresie czasu dowiedzieć się niejednej ciekawej rzeczy o nich od nich samych.

— A więc — Anglicy o sobie...

Wiedzą, że są „mieszańcami" i chociaż słowo, którym to określają — „mongrel" — oznacza w pierwszym rzędzie kundla, są chyba z tego trochę dumni. Jak w ich języku, tak w charakterze odnaleźć można różne elementy: celtycki — sentymentalny, idealistyczny i artystyczny; normańsko-francuski przejawiający się w niepokoju, zamiłowaniu do przygód, a nawet pewnym romantyzmie, i wreszcie duńsko-anglo-saksoński praktyczność, pracowitość, upór posunięty aż do tępoty. Charakterystyka ta — wolę dodać ze względu na ostatnie słowo — pochodzi w całości od pana K.W. Salter z uniwersytetu w Exeter.

Anglicy są świadomi czegoś, co określają mianem „cztery zła dostatniego społeczeństwa": powszechnej prawie ignorancji, złych warunków mieszkaniowych (nie ma wprawdzie w Anglii, z przyczyn oczywistych, takiej sytuacji w tej dziedzinie jak w Polsce, jednakże występują poważne trudności lokalowe, a poza tym bardzo dużo domów to budynki wzniesione 150—200 lat temu), bezrobocia (obecnie 1,5 proc. na 24 miliony zatrudnionych) i w końcu — chorób. Ta świadomość pomogła chyba ostatnio Haroldowi Wilsonowi w dojściu do władzy.

Anglicy nie są i nie chcą być demokratyczni. Nie buntują się wobec faktu, że „pozycja społeczna jest w dużym stopniu dziedziczona", że istnieją „tylne drzwi" na uniwersytety dla wychowanków tzw. szkół publicznych, że „człowiek rodzi się tam sędzią czy też doktorem, a nie staje się nim" („Judges are being born and not made, doctors are being born and not made"), i że etyka społeczeństwa angielskiego to etyka oportunistów („The ethic of English society is that of opertunists"), dla których najważniejszą w życiu rzeczą jest podnoszenie materialnego standardu życia.

Większość Anglików uważa, że w kraju ich nie istnieją klasy. Niektórzy mogą mieć świadomość klasową, ale nie wierzą w konflikty klasowe („They may have class consciousness, but not class conflicts").

To kilka tylko spośród wielu interesujących opinii, jakie usłyszałem w Exeter od pani M. Hewitt z miejscowego uniwersytetu.

Jak wszystkie uogólnienia, i te są prawdziwe zapewne tylko po części. Szczególnie jeśli idzie o ostatnią z przytoczonych uwag, miałem okazję przekonać się, że nie wszyscy Anglicy są takiego zdania jak pani Hewitt.

Właśnie w Exeter oglądałem pierwsze trzy odcinki nowej serii telewizyjnych programów. Oparte według zapowiedzi na autentycznych pamiętnikach, odcinki te przedstawiały dzieje dwóch chłopców, którzy przybyli z prowincji do Londynu szukając pracy i marząc o karierze. Jeden od początku pragnie zostać kapitalistą, a drugi głęboko wierzy w solidarność robotniczą (sformułowania z programu!). Nie znam dalszych odcinków serii, ale już te pierwsze trzy, świetnie zresztą przygotowane, zgrane i dla dodania atrakcji suto zaprawione seksualnym sosem — ukazywały, jak drugi z bohaterów zostaje brutalnie pobity przez tych samych robotników, w których solidarność tak wierzył — i uznaje praktycznie słuszność wyboru kolegi.

Jeśli w Anglii „nie ma klas", lub nawet tylko konfliktów klasowych — to po co w końcu ośmieszać solidarność robotników?

REPORTAŻ z paragrafem

W większości wypadków, dzieciobójstwo jest udziałem kobiet niezamężnych, w małżeństwie zaś zdarza się wyjątkowo. Świadczy to przede wszystkim o tym, że nie tylko sam przebieg i okres porodu ma wpływ na te bolesne i niejednokrotnie trudne do zakwalifikowania czyny młodziutkich często matek. W wypadku dzieciobójstwa kobieta jest z reguły tylko ślepym narzędziem w rękach równie bezwzględnej jak okrutnej opinii kolturów, którzy chętniej wybaczą zbrodnię, niż narodziny dziecka „z nieprawego łoża", którzy na każdym kroku niweczyć będą szczęście dziewczyny mającej odwagę urodzić mimo wszystko. Jest to opinia pogrobowców praktyk średniowiecznych, ale niestety jakiś procent opinii publicznej, którą sami współtworzymy, choć na szczęście coraz rzadziej, skoro w porównaniu z okresem przedwojennym liczba wypadków dzieciobójstwa zmniejszyła się dziesięciokrotnie.

Nie tak dawno stanęła przed Sądem Wojewódzkim w Łodzi niespełna 21-letnia dziewczyna oskarżona o zaduszenie swego nowo narodzonego dziecka. Okoliczności przypominające w swej aurze niektóre partie „Dziejów grzechu" Żeromskiego, z pewną korektą na rzecz współczesności i postępu cywilizacyjnego. Poród już nie w ubikacji, ale w higienicznej lazience. Potem, ponieważ dziecko prawdopodobnie krzyknęło, dziewczyna chwyta chustkę do nosa i obwiązuje szyję maleństwa. Robi to odruchowo, nie oglądając noworodka, ze wstydu, że ciotka, która nieopodal kręci się po ogrodzie, może coś usłyszeć. I potajemny poród i ten akt samoobrony przed kompromitacją przerastają już wytrzymałość nerwową dziewczyny. Traci przytomność, aby się ocknąć w kałuży krwi. Wtedy odwracając oczy od dziecka wrzuca zwłoki do kosza z brudną bielizną i dopiero wzywa pomocy. W szpitalu, dokąd zawozi ją pogotowie, bez trudu ustalają przyczynę krwotoku, mimo że dziewczyna odmawia odpowiedzi na pytania. Dopiero po kilku dniach przyznaje się do wszystkiego i wskazuje miejsce, gdzie ukryła zwłoki.

Ale czy rzeczywiście do wszystkiego? Od pierwszej chwili zaczyna cieniować pewne momenty swej biografii kryjąc, jak to ona pewnie rozumie, moment najważniejszy — ojca dziecka. Woli raczej wskazać na jakichś niezidentyfikowanych sprawców wymyślonego gwałtu. Trudno odpowiedzieć jednoznacznie, co na to wpłynęło. Czy jest to postawa pseudoheroiczna, obrona przed kompromitacją(?) studenta UŁ, który jako ojciec zachował się niezupełnie odpowiednio i zostawił dziewczynę na lodzie; czy też mamy tu do czynienia z obroną samej dziewczyny w myśl zasady katolickiej sformułowanej przez teologa Pater Taberna: „...młoda dziewczyna niewolona przez napastnika z niebezpieczeństwem śmierci lub hańby nie grzeszy, jeśli zachowa całkowitą bierność". Oskarżona od pierwszej chwili czyni szalone wysiłki by zmyć z siebie przede wszystkim „plamę grzechu". Robi to przede wszystkim ze względu na środowisko, w którym jej żyć wypadło, przed którym udało jej się ukryć ciążę. Wprost czuje się napór tego środowiska na czyn dzieciobójczyni i na wybrany przez nią sposób obrony. Nie broni się przed karą, tylko przed środowiskiem.

Być może komuś wnioski wyprowadzone przeze mnie wydadzą się dziwne. W naszym ustroju kobieta i dziecko doznają wielkiej ochrony i jeśli można na coś się uskarżać, to raczej na wyrodne matki, które podrzucają swe pociechy na wychowanie państwu. Z całą pewnością nawet samotnej kobiecie jest dziś o wiele łatwiej wychować dziecko niż dawniej. Wszystko to jest, generalnie rzecz biorąc prawdą, co jednak nie przeszkadza, że w indywidualnych przypadkach nigdy nie unikniemy tragedii. Wtedy zwłaszcza, gdy tradycyjna nie tyle moralność, co pruderia zwęża do tego stopnia pole świadomości, że każdy czyn wydaje się lepszy od kompromitacji. A także, gdy przed trudną, przerastającą jej dojrzałość decyzją staje niedoświadczona, opuszczona dziewczyna, która nie może się znikąd spodziewać pomocy, nawet od własnej matki.

Niechże tragedia tej dziewczyny stanie się okazją do wyciągnięcia wniosków ogólniejszej natury. Czynię to nie w celu znalezienia odpowiednio mocnej pointy, ale po to, by narysować szersze tło nielicznych, choć jednak zdarzających się jeszcze wypadków dzieciobójstwa.

Dzieciobójczyni jest jak to wspomniałem, z reguły ofiarą środowiska, w którym jej żyć wypadło. Purytańskich babek i ciotek, wścibskich sąsiadów, a także współczujących przyjaciół, którzy tak czy inaczej rażąco wypominają kobiecie jej sytuację doprowadzając w końcu do tragedii. Cechuje nas bowiem w tych sprawach zwykle brak umiaru i brak najzwyklejszego taktu, a spoza słów współczucia wyłania się źle maskowany fałsz i potępienie. Ale byłbym niesprawiedliwy obciążając tylko środowisko. Często dzieciobójstwa dokonują kobiety, które nie chciały macierzyństwa, ale zostały do niego zmuszone. Wbrew bowiem literalnemu brzmieniu ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży, a także przepisów wykonawczych, zdecydowanie się na zabieg, zwłaszcza w małym miasteczku, jest aktem wielkiej odwagi. Nie dlatego, by kobiety obawiały się odpowiedzialności karnej za przerwanie ciąży, jest bowiem wielką zdobyczą naszego ustawodawstwa, że zmieniono niehumanitarne przepisy międzywojenne w tej materii. Ale prawidłowe działanie ustawy hamują zdarzające się niekiedy wypadki uchylenia tajemnicy zawodowej przez mało wyrobiony personel różnych prowincjonalnych szpitali, w miasteczkach, gdzie wszyscy się znają. Podobny brak dyskrecji odstraszyć może nawet mężatki, cóż dopiero młode, niezamężne dziewczyny, które robią tajemnicę ze swego stanu nawet przed najbliższą rodziną. Te mają do wyboru albo znachorkę, albo w przypadkach szczególnej wagi, dzieciobójstwo. Ale i kobiety w dużym, ogromnym mieście, nie mają bynajmniej ułatwionego zadania. Tu łatwiej oczywiście zachować dyskrecję, ale też do pewnych tylko granic. Wiele kobiet musi zrezygnować z zabiegu ze względu na żądanie dostarczenia szpitalowi krwi. Jeśli udaje się do szpitala w tajemnicy przed najbliższymi i nie chce tej tajemnicy uchylić, nie pozostaje takiej kobiecie nic innego jak ukrywać swój stan i rodzić.

Na zmniejszenie się wypadków dzieciobójstwa w Polsce Ludowej ma niewątpliwie kolosalny wpływ ustawa o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Jednak wypaczanie sensu tej ustawy, jak to się rzadko, ale niestety zdarza, pozwala powtórzyć za Boyem: „Piekło kobiet wciąż otwarte". Chociaż nie chodzi już o bramę szeroko otwartą, a tylko o nie dość szczelnie zamknięte drzwi.

MIARY

Dalszy ciąg ze str. 1

zmęczony, przyjmowałem pieniądze, kiedy je zarobił, odwzajemniałem jego pieszczoty. Cokolwiek by się dało o tym powiedzieć, jestem w pewnym sensie przedłużeniem mojego ojca, od dawna nawet, bo należałem do niego zanim zacząłem należeć do siebie, zanim moje nie urodzone jeszcze dziecko będzie należeć do mnie i do Magdy, może w częściach równych, a może też bardziej do jednego z nas. I chyba teraz dopiero wiem jak wytłumaczyć sobie strach, który istniał we mnie, kiedy poznałem Magdalenę, a ściślej rzecz biorąc od momentu, gdy zbliżyliśmy się do siebie w takim stopniu, że się zaczęły projekty na przyszłość, bo przecież biorę na siebie odpowiedzialność nie za to, jakie kiedyś będzie nasze dziecko, ale właśnie jakie ono jest w chwili dokonania, jaka cząstka mego ojca potwierdzi się w naszym dziecku.

W przedziale nie było Magdy, a przecież tak bardzo przyzwyczaiłem się do obecności żony, że nawet rozumiejąc powody, które przemawiają za jej rzeczywistym brakiem, które bez jakichkolwiek niedomówień tłumaczyły niemożliwość jej udziału w podróży, widząc wtedy tamto miejsce puste, przez nikogo nie zajęte, przestraszyłem się, że wyszła z przedziału na korytarz, gdzie jest narażona na przeciąg, gdzie naraża nie tylko siebie i chyba chciałem nawet za nią wybiec, póki nie spostrzegłem, że tylko mój płaszcz wisi na wieszaku i cofałem się myślą do szpitala, bo palto Magdy było już wtedy w szpitalu, sam ją tam przecież zawiozłem szczelnie opatuloną, jeszcze niezupełnie świadomą, jeszcze uwolnioną od troski rodzenia. Uprzytomniwszy to sobie, przez bardzo krótki moment, ale się jednak zastanowiłem, czy nie należało pojechać w odwrotnym kierunku, do szpitala, do Magdy, gdzie moje starania zostałyby należycie ocenione, bo może nie należało poświęcać ważności urodzin mego dziecka dla śmierci ojca, z którym mimo wszystko nie byłem najbliżej i skoro się nie da ustalić hierarchii tych zdarzeń, nie można wybierać między życiem a śmiercią, to już raczej więź uczuciowa powinna rozstrzygać, a nie jej brak, brak aż do niebytu. I tylko nie wiem dlaczego natychmiast powstał we mnie ten odruch obrony, bo przypomniałem sobie w przedziale, że nie jadłem tego dnia od rana, od wyruszenia z domu, a wagon restauracyjny był obok, więc postanowiłem sobie, zatrzymać na razie rozwój wątpliwości, przynajmniej do chwili, gdy na dobre nie zaspokoję głodu. W podróży wszystko dzieje się o wiele prędzej, łatwiej o zespolenie z tym, co jak zwariowane ucieka za oknem, jechałem na pogrzeb, nie znając do końca swoich zamiarów, ale byłem raczej spokojny i tylko na krótkich odcinkach, gdzie naprawiano tor, kiedy pociąg najwyraźniej zwalniał, dopuszczałem się myśli, że nic właściwie jeszcze nie przewidziałem, nic nie przewiduję, a tylko jakiś irracjonalny popęd, czy raczej atawizm, którego źródło nie jest znowu takie trudne do wykrycia, że to instynkt tylko więc nakazuje mi uciekać od najbliższych i paraliżując wolę oddaje we władztwo rozpędzonemu pojazdowi. To wyglądało tak, jakby rozpędzony pociąg rozciągał moje życie, od położniczego szpitala, gdzie jak przypuszczałem w tamtej chwili rozlegał się pierwszy krzyk naszego dziecka, dźwięk, który sam nieświadomie mogłem wydać, bo w jakiś sposób i ja rodziłem się w tych samych minutach, poprzez wirujące krajobrazy zawarte w cyklu wzgórz, drzew, mostów, słupów kilometrowych, po śmierć mego ojca, jeśli to nie ja sam umierałem w tamtej chwili i to przeciw ojcu. Zapewne działo się to wszystko jednocześnie, bo pociąg był w ruchu, bo doświadczałem wszystkiego naraz, ale ponadto siedziałem na miękkiej kanapie, pod łokciami marszczył się obrus, a na blacie stolika w metalowej obręczy kołysały się butelki. Obrus zwrócił moją uwagę, był naprawdę biały i kiedy wpatrywałem się w rozmaite odcienie jego powierzchni uprzytomniłem sobie nareszcie, że jadę, od rana nic nie miałem w ustach oprócz pośpiesznego śniadania, które sam przyrządziłem, bo Magdaleny przecież nie było, a mimo to nie czułem głodu. Chciałem być głodny, bo nie chciałem dopuścić do siebie myśli o Magdzie i naszym dziecku, to miał być wybieg przeciw ko nim łącznie, a jeszcze bardziej przeciw tej cząstce ich, która na mnie przeszła i stanowi to właśnie, co mam najwartościowsze, co chciałbym mieć przede wszystkim. Zrozumiałem, że wtedy również pragnąłem odnaleźć ich w sobie, ale są w końcu rozmaite sposoby ustaleń, można na przykład przez negację, przez to czego nie ma, przecież szukałem ojca, żeby go nie znaleźć i tylko nie wiem, czy mi się to w pełni udało. Były niebezpieczeństwa, to było ryzykanctwo z mojej strony, bo jednocześnie to najlepsza część wyobcowana, oderwana od obecności Magdy i naszego dziecka, nie poddana ich dobroczynnemu wpływowi, poza ich zasięgiem, odstawała od moich najbliższych zamiarów, od pozostałej części mej istoty, od okrucieństwa, na które się zgodziłem, w którym utkwiłem zupełnie, jakbym od samego początku nic innego nie robił, jakbym do niczego prócz okrucieństwa nie był zdolny. Jechałem po to, aby znaleźć w sobie ojca, to samo co przekreślić przyszłość, uzależnić się od jakiegoś procentu przypadkowych związków pomimo prób Magdy wyprowadzenia mnie w końcu na człowieka. Ale nie mogłem wtedy usunąć zupełnie Magdy, coś z niej pewnie przejąłem, małżeństwo się upodabnia nie wiadomo kiedy i tylko musiałem zapobiec starciu dwu mas krańcowo przeciwstawnych, z których każda chciała dojść do głosu, mieszała mi się pamięć o ojcu i o Magdalenie, więc poprosiłem kelnera, o rosół, zaledwie gra na zwłokę i zanim mi podano, pozostałem przy stole nieruchomy i wyczekujący. Nie było to ustępstwo na rzecz mojej żony, chociaż w pierwszej chwili i tak można by uważać, bo od miesięcy nie jadam nic poza rosołem, każdy obiad to rosół ze śmietaną lub bez niej, z buraczkami, z kalafiorem, często z kaszą manną, na mięsie albo na samych skwarkach, postarałem się, żeby uprościć i ujednolicić swój jadłospis do jednej tylko potrawy, z nazwy przynajmniej, bo przecież to Magda gotuje i ona się zgodziła na taki jadłospis. Rosół może oznaczać prawie wszystko, ale Magdalena lepiej ode mnie wie, jak się zabrać do rzeczy, aby obiady nie były monotonne, już ona to czuje, kiedy gotować rosół na wiśniach, a kiedy na mięsie.

Nie mogłem sobie uprzytomnić na czym ugotowano rosół, który mi wtedy podano w wagonie, nie tknąłem go przecież, filiżanka stała, aż wystygła. Naprzeciw mnie siedział wojskowy w polowym płaszczu, którego nie wiem dlaczego, może z pośpiechu nie zdjął i bardzo się pocił ten oficer w wagonie restauracyjnym, chyba ze dwie stacje przesiedzieliśmy w ten sposób naprzeciwko siebie. Kiedy chciałem poczęstować go papierosem, przechylony ku mnie powiedział,, że już musi wysiadać, bardzo miło siedziało mi się tutaj z panem, a błyszczący czołg z jego kołnierza, który podczas całego posiłku miałem przed oczami, kawałek srebrzystej blachy, bardziej ornament niż groźba, nagle nabrał trójwymiarowości, wypełnił sobą przestrzeń między mną a oficerem i opadłszy z łoskotem gąsienicami na obrus pewnie zaczęłby się posuwać przez wagon, gdyby nie kelner, który podzwaniając kasetką pełną monet, przyszedł się upomnieć o należność, a zarazem przypomnieć, że miejsce należy już zwolnić dla innych, papieros wyleciał mi z ręki, trzeba na siebie uważać — powiedział kelner, patrzyłem na obrus i nie widziałem śladów gąsienic wyciśniętych w płótnie, bo fałdy, które tam były, sam zrobiłem łokciem. Nie przyznałem się kelnerowi, co na mnie zrobiło tak wielkie wrażenie, zapłaciłem i poprosiłem o podanie kawy. Papieros mi nie smakował, chciałem wrócić do przedziału, ale też nie chciałem podnosić się z tamtego miejsca. Ta cholerna historia z czołgiem mogła powstać z powodu napięcia i w jakiś sposób działa się naprawdę, ale tylko dla mnie jednego, tylko w moim wnętrzu, bo odbijałem w najbliższym otoczeniu swoje myśli, przecież nie jadłem wtedy sam, tylko z ojcem, a raczej ani na moment o nim nie zapominając, aż mi się zmaterializowała, aż mi się zaczęła przedstawiać przed oczami jego chłonna obecność. W tamtym momencie Magda jakby w ogóle nie istniała, zdawałem sobie sprawę i chcąc jej to zrekompensować, kiedy wróciłem do przedziału wyobraziłem sobie, że ból którego doświadcza spadł na mnie, żeśmy się podzielili dolegliwościami które stwarza poród, zupełnie nowe doznanie i wtedy, bezpieczny i odległy, na kanapie, w ciepłym wagonie, doświadczałem fazy nasileń tego bólu, prężąc się, wykonując gwałtowne poruszenia całym ciałem, wokoło mnie pytano co się stało, opadłem na kanapkę, zrobiło mi się wstyd, że nie potrafię panować nad sobą. To wystarczyło zupełnie, aby ojciec znowu powrócił, stanął przede mną jak żywy, właśnie w oficerkach, właśnie ocierający na śniegu pot z czoła, pewnie to było wspomnienie ojca z czasów wojny, raczej z pierwszych dni po wyzwoleniu, wiem przecież dobrze, o co chodzi, Magdalenie trudniej będzie zrozumieć. Dla Magdaleny wojna polega zapewne na dokuczliwym braku cukru i soli, co tak ludzi ogłupia i rozbestwia, że są gotowi zabijać się wzajemnie w walce o te produkty, Magdalena chciałaby we mnie wmówić, że brak cukru i soli w organizmie wpływa degenerująco na komórki, aż zwyrodnieniu ulegają nie tylko tkanki, nie tylko całe ich układy, ale i świadomość i wtedy już ludzie nie wiedzą, co czynią; Magdalena jest gotowa tłumaczyć po babsku, że to właśnie brak cukru i soli wyzwala najniższe instynkty, zdolna jest wykrzyknąć, że przecież istoty stojące niżej gatunkowo niż ludzie, nie uprawiają buraków czy trzciny, nie eksploatują kopalni w Wieliczce; dlatego też ewolucja bardzo wolno u nich postępuje, ale takie na przykład konie jedzą cukier, który im dają właściciele i konie są oswojone, a że niekiedy kopią, Magdalena zdolna jest do zaprzeczenia, że w ogóle kopią, to tylko plotki, jakbym ją słyszał. Co do mnie jestem pewien, że ojciec przez całą wojnę nie tknął sacharyny, że mu cukru i soli nie brakowało, a jednak wszystko, co o nim wiem, kojarzy mi się z zabijaniem, z zabijaniem oderwanym od przyczyn tych kolejnych śmierci, a więc w stanie czystym, który zacieśnia się w jeden jego obraz, może niepełny, bo kiedy utraciłem ojca, życie jego jeszcze nie było dokonane. Za to wszystko, co pamiętam, pamiętam dokładnie; więc w tamtym dniu po wyzwoleniu leżał sypki śnieg i mróz szczypał mi dłonie, gdy się skradałem za ojcem, który prowadził na smyczy naszego psa, psa który był bardzo stary, który od wielu miesięcy chorował, bo przeczuwałem, że to nie jest spacer. Nie wiem dlaczego, ale skradając się liczyłem kroki, od ganku aż do krzaka, za którym się ukryłem, było ich osiemdziesiąt cztery, z tym, że droga psa musiała być nieco dłuższa, bo go ojciec zaprowadził do betonowej ściany śmietnika i zaraz przywiązał. Potem zaczął się ostrożnie cofać, ale przedtem jeszcze nieco odpoczywał, że był to odpoczynek, a nie wahanie, jestem raczej pewny, stanął i wydało mi się, że ociera sobie pot, mnie też zrobiło się gorąco i nie czułem mrozu, kiedy ojciec strzelił, myślałem, że na wiwat, pies wcale nie upadł, nie mógł upaść, bo od początku położył się na śniegu, był tylko bardziej wtulony w śnieg. Bo przecież nawet ja słysząc tamten wystrzał jeszcze mocniej przywarłem do ziemi i długo leżałem bojąc się, że kiedy wstanę, ojciec tym samym ruchem ręki, przypominającym otarcie spoconego czoła, strzeli do mnie precyzyjnie, celnie, że mnie kulą przytwierdzi, przybije na zawsze do śniegu. I nie wiem, jak długo leżałem w ten sposób, śnieg topniał pod dłońmi, a kiedy się stopił nie było już ojca, psa też nie widziałem, a tylko zostały na śniegu odciśnięte łapy i te wyraźne ślady, urywały się w miejscu, gdzie pies leżał uwiązany, urywały się tak doszczętnie, że już na nic nie zważając zacząłem je od śmietnika, aż do samego ganku zacierać, przebywając tę drogę, której pies już przejść nie mógł, o której już w ogóle nie wiedział. Przecież nie idzie mi o sprawę wyboru miejsca, nigdy mi o nie nie chodziło, bo kiedy dokładnie obejrzałem betonową ścianę śmietnika, to zrozumiałem od razu, że jest do wymiarów psa zupełnie dopasowana i wybierając tamto właśnie miejsce ojciec nikogo przypadkowego nie narażał, to było przez niego dokładnie przemyślane. Nie byłem wysoki, gdy chodziłem sprawdzić pod śmietnik, bo pamiętam, że wyciągałem do góry rękę i do szczytu zabrakło mi pół dłoni, zresztą nigdy nie ustaliłem dokładnie wymiaru tamtej ściany, bo przecież upadłem, walając sobie ubranie, może dlatego, że wspiąłem się niezbyt zgrabnie, a może dlatego, że wyobraziłem sobie swój upadek na śnieg i delikatne, prawie niedostrzegalne ukłucie w okolicy serca.

KONRAD FREJDLICH

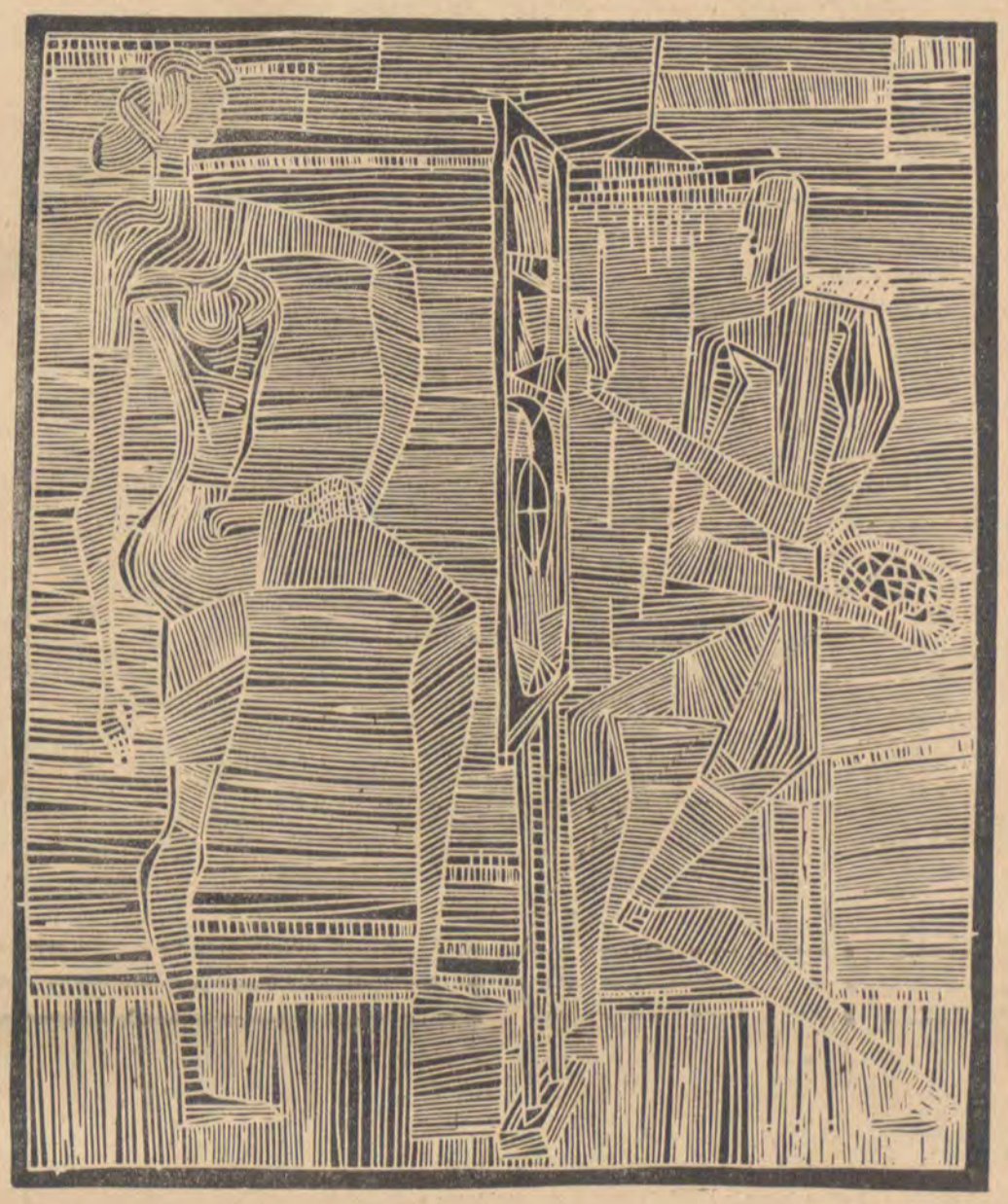

Grafika — *Henryk Płóciennik*

PIOTR KUNCEWICZ

Uśmiech, zwyczajnej kobiety

Dlaczego podobała mi się książka Dąbrowskiej? Na dobrą sprawę powinna mnie zmierzić, jako że jest wyraźnie na antypodach wszystkiego co lubię. Lubię zaś wielką metaforę, dalekosiężną, historiozoficzną i moralną problematykę, wielopłaszczyznowość, szyderstwo, dramatyczną i nie przerysowaną fabułę. Nie znoszę zaś wspominkarstwa, „zwyczajnego życia" z „szarym człowiekiem", detali obyczajowych i całej „babskiej literatury". Innymi słowy, lubię Manna, Hessego, Malraux, Faulknera, panią Carson Mc Cullers nie znoszę zaś Orzeszkowej, Mansfield, źle trawię Dos Passosa i nie tykam pani Simone.

Z tym wszystkim powieść, pamiętnik — czy jak to zwać — Ewy Dąbrowskiej przeczytałem z przyjemnością i prawie bez wzdragania. Nie potrafię jednak odpowiedzieć bez reszty, co mi się właściwie w tej książce spodobało. Czysto formalnie jest to zbiór pięciu nowel. Ale łączy je w jedno osoba narratorki — bohaterki zbioru. Właśnie; to chyba ona, mimo takich i innych niedostatków książki przykuwa naszą uwagę. Czy dlatego, że „tchnie autentykiem"? Kryterium mało sprawdzalne. Chodzi raczej o coś innego.

Zabawne, że dowiadujemy się o niej właściwie niewiele; oglądamy ją tylko w epizodach. Jest niedoszła malarką, żyje z przepisywania na maszynie, z tej racji miewa kontakty ze światkiem literackim. Ma jakąś, niezupełnie najbliższą rodzinę na wsi; pada gdzieś wzmianka, że wykoleiła ją wojna. To właściwie wszystko.

Są epizody: jedna, druga, nieudana miłość, parę tygodni spędzonych na wsi, lato nad morzem. Trochę melodramatu: zakochana kobieta zdobywa klucz do mieszkania zaniedbującego ją mężczyzny, odwiedza go nocami. Ten podejrzewa, że to halucynacje duchy, przeżywa rozterki. Innym razem jest to piorun, który niszczy dom bohaterki właśnie w momencie, gdy jest jej najbardziej potrzebny. Ale w tym rzecz, że melodramatu się w tym właściwie nie czuje (poza jakimś drobnym momentem w pierwszym opowiadaniu). Dąbrowska jest właściwie najzupełniej zwyczajna; i właśnie ta zwyczajność, można także rzec naturalność, podbija czytelnika.

Naturalność nie samej tylko narracji. Bo ta również utrzymana jest w tonie swobodnym i dyskretnym, nie goniącym za efektem. Przewijają się tu naturalni ludzie, nie będący nosicielami żadnych weltschmertzów ani prometejańskich ambicji. Ludzie są zwyczajni, zwyczajne są wydarzenia. Ale to tylko nie mogłoby jeszcze uzasadnić lektury. Istotna naturalność odnosi się do postawy samej bohaterki, jej stosunku do losu.

W istocie rzeczy mogłaby wyrzekać na swoją dolę. Książka prezentuje same nie udane, źle zakończone historie. Ale właśnie bohaterka nie wyrzeka. Przyjmuje swój los jako rzecz właściwie naturalną. Z rzadka tylko pozwoli sobie na ironiczny uśmiech wobec siebie czy kogokolwiek innego. Jest dyskretna i wyrozumiała. To ona właśnie daje książce, całej jej materii tyle niewątpliwego ciepła. Jest w tym coś jeszcze: ta bohaterka jest swobodna. Oczywiście, ma swoje przywiązania: do mężczyzny, psa, babki-staruszki, przyjaciół z kawiarni. Ale przecież przychodzi i odchodzi, nie związana z nikim ostatecznie. Z wyjątkiem może psa.

W tej zwyczajności dyskrecji, w drobnym stoicyzmie nie wstydzącym się zresztą ani trochę cieplejszych ludzkich uczuć jest wiele rzetelnego uroku. Nie ma tu za to epatowania robionym seksualizmem, fałszywymi dramatami, wątpliwą filozofią. Nawet zostając na noc u mężczyzny bohaterka nie robi z tego ani metafizyki ani cyrku nicznego zgrywu. Znajduje jakoś szczęśliwy środek. Kto czytał (a któż ich nie czytał?) dzieła pani Simone i panny Francoise, wie jaka to trudna sztuka.

Nie jest to naturalnie książka światoburcza i filozoficzna. Co prawda tytuł („Dzielnica SAM-ów") ma także przenośne znaczenie i donosi nam, że będzie tu mowa o ludzkiej samotności. Ale o tym, na dobrą sprawę niewiele. Jest za to rzeczywiście mowa o samotnej kobiecie, która jednak potrafi nawet do własnej samotności podejść z jakąś ładną dyskrecją. Po cóż więc szukać metafizyki, tam, gdzie jej nie ma? I ostatecznie książka jest ładna, podoba się, nawet mnie, chociaż nie znoszę „zwyczajnego życia", „szarego człowieka" a nade wszystko „babskiej literatury".

Ewa Dąbrowska, Dzielnica SAMów, Wydawnictwo Łódzkie 1964, s. 199.

RYSZARD KLIMCZAK

MGŁY nad LASEM

FRAGMENT ZE ZBIORU
„SPOTKANI W MROKU"

Uzbrojonego cywila w znoszonych łachach łatwo utożsamić z bandziorem.

W lewej dłoni trzymał lejce, w prawej — bat. Smigał nim po grzbiecie szkapy, zaprzężonej do chłopskiej furki. Lotry i koła skrzypiały pod ciężarem ładunku. Wóz toczył się wolno w koleinach płaszczystej drogi.

Furman darł się na całe gardło.
— Hetta, wio, siwy kuniu, hetta wio!
Ciągniej wóz i nie pytaj gdzie i co.
Gdy się w górę będziem piąć,
to nas diabli mogą wziąć.
Hetta, wio, siwy kuniu, hetta, wio!

Drugi uzbrojony cywil szedł parę kroków za towarzyszem. Ręką uchwycił kłonicę. Tak wsparty kroczył leniwie, otępiały żarem.

Było południe. Sierpniowe słońce raziło oczy blaskiem rozedrganego powietrza, bombardowało każdą tkankę milionem promieni.

Pot ciurkiem spływał mu po plecach. W żebra wgniatał się bęben pepeszy ciężarem pięćdziesięciu naboi.

Jeszcze jakieś 400 metrów. Potem już las, ze swoim chłodem i cieniem.

Nim się spostrzegli, za późno było zawrócić. Nie miałoby to zresztą i tak żadnego znaczenia, bo gdzie zawrócić?

Tamtych rozpoznali łatwo. Szpaler ludzi, w który wjechali tak nieoczekiwanie, nie trudno rozszyfrować. Większość była w zielonych mundurach. Na beretach, granatowych, ołowiane orzełki.

Furman i jego towarzysz udawali, że tamtych nie dostrzegają. Koń wyciągnął szyję, kiwając łbem, w górę i w dół, z nadmiaru wysiłku.

— Stać!

Najpierw zatrzymał się koń. Nie wiadomo czy na ten rozkaz czy dla odpoczynku. Nie rozglądali się. Przystanęli. Tamci otoczyli ich kołem. Milczeli.

Obaj zatrzymani prawe ręce wspierali na kolbach pistoletów. Palce obejmowały spust. Stali spokojnie, lecz czujnie.

Z odległości trzech kroków mierzyli się badawczymi spojrzeniami furman i jeden z tamtych. Wysoki, w mundurze z dystynkcjami plutonowego. Puste oczodoły luf spoglądały w brzuchy właścicieli pistoletów.

— Coście za jedni? — wycedził przez zęby plutonowy.

— Partyzanci. A wy?

— AK.

— AL.

Jak dwie szpady skrzyżowały się, niemal równocześnie, dwa wykrzykniki.

— Oddać broń! — zażądał plutonowy.

Furman uśmiechnął się.

— Alowiec żywy broni nie składa.

— Po co ten patos. To nie wiec. Jesteście otoczeni. Nas jest więcej.

Furman prześliznął się wzrokiem po zebranych. Lufami w dół zwisały im z ramion „mauzery". Niektórzy opierali się o jakieś stare, długie „luśnie". On patrzył łakomie na ich zielone mundury, oni — pożądliwie spoglądali na jego pepeszę.

— Rozbroić!

Koło zaczęło się z wolna zacieśniać. Nie było w nim wrogości. Furman i jego towarzysz jakby się skulili w sobie. Pamiętali bezwzględny zakaz. „Nie strzelać pierwsi w zatargu z akowcami".

— Chwileczkę — wkroczył dowódca akowskiej grupy, porucznik, obserwujący z ciekawością kibica słowną potyczkę plutonowego i furmana.

Cała grupa skwapliwie zastygła w oczekiwaniu.

— Alowcy, powiadacie. Z którego oddziału?

— Od „Zawrata".

— A to świetnie. Idziemy właśnie na kontakt z jego ludźmi.

Plutonowy strzyknął śliną nie tając złości. — Co to za gadanie z tymi ciurami. Łypnął na porucznika.

Porucznik „Wykrot", z batalionu „Grudy" jestem — przedstawił się wyciągając rękę. Poprowadzicie nas wobec tego do waszego dowódcy.

— Kapral „Mietek" — zrewanżował się alowiec. Jeśli idziecie na kontakt, to wiecie gdzie szukać em pe sztabu. Nigdzie was prowadzić nie będziemy.

— Brawo! Świetnie! Ale towarzyszyć nam będziecie?

— Czy mam to rozumieć, że jesteśmy jeńcami?

— Skądże znowu. Po prostu wędrowcami zmierzającymi do jednego celu — powiedział dwuznacznie porucznik.

— Żądam, abyście nas przepuścili i niech każdy idzie swoją drogą.

— Brawo! — Porucznik roześmiał się, a za nim wszyscy jego żołnierze.

— Oto wolna droga — wskazał ręką. Rozstanie się! — rozkazał.

Kapral „Mietek" smagnął konia po zadzie i nieufnie ruszył naprzód.

— Maszerować! — wydał komendę porucznik. Akowska grupa ruszyła krok w krok za wozem.

* * *

Na temat prowadzonych rozmów mógłby się ukazać w gazetach stereotypowy komunikat.

„Obie wysokie układające się strony omówiły szereg istotnych problemów, wymieniły poglądy na interesujące zagadnienia oraz wyraziły zadowolenie z odbytej konferencji. Obrady toczyły się w atmosferze wzajemnego zrozumienia i przyjaźni".

Dziennikarze, niestety, w obradach nie uczestniczyli. Komunikatów nie będzie. Z tej prostej przyczyny, że interesujące wzajemnie problemy nie wymieniali szefowie rządów a konferencja nie odbywała się w Genewie. Okrągłego stołu też nie było, funkcję zaś foteli spełniały zwalone pnie sosen. „Wysokie układające się strony" reprezentowały dowództwo oddziałów partyzanckich AK i AL, działających na jednym terenie.

Teren — właśnie on — zmuszał do rozmów, jeśli chciało się skutecznie walczyć z okupantem.

Kilkadziesiąt metrów od miejsca obrad „wysokich układających się stron" gawędziła, pomieszana między sobą, mająca w głębokiej pogardzie dyplomatyczny protokół, gromada partyzantów. Jedni — wierni „konstytucyjnemu rządowi w Londynie", drudzy — wierni idei rewolucji społecznej. Stamtąd rozbrzmiewały wokół wybuchy wesołości.

Kuluary opowiadały sobie dowcipy.

„...Wysyła więc depeszę: „Adolfo Hitlero stop Greko bandito stop dupę nam zbito stop Musolini Benito. Adolf mu odtelegrafował: „Benito stop Nic już nie pomoże stop wsadzaj dupę w morze stop wszystko w cholero stop Adolfo Hitlero..."

Swobodne rozmowy i wzajemna „wyprzedaż" dowcipów obu partyzanckich grup, gości i gospodarzy, denerwowała plutonowego. Nie wypadało mu jednak tego okazywać. Demonstracyjnie się do nich tylko nie włączał. Stał chmurny obserwując spod oka dowódców.

Tymczasem protokół dyplomatyczny nakazywał koniec rozmów delegowanych do porozumienia oficerów. Pozostała tylko jeszcze jedna sprawa. Dosyć drażliwa. Ale kapitan „Władek", delegat sztabu AL, był zręcznym politykiem. Zachował ją właśnie na zakończenie, aby nie kładła się cieniem na tok rozmów od samego ich początku.

— W waszym oddziale jest paru naszych ludzi. Chcemy ich przejąć.

Porucznik „Wykrot" poczuł się zaskoczony. „Nie, ten komunistyczny oficer za wiele sobie pozwala. Niemożliwe. U nich w oddziale peperowcy? I tu o nich wiedzą? Więc co? Komunistyczny wywiad w szeregach armii?". Wykrot chwilę milczał. Usiłował nie okazać rozdrażnienia, w jakie wprowadziło go to żądanie. Nie sądził, że skutki przed chwilą zawartego porozumienia przyjdą tak nagle. Nie było to przyjemne. Był wściekły. Mimo to uśmiechnął się. „Jeśli u nich wszyscy tacy — rozumował — jak ten kapral spotkany po drodze, to z pewnością szeregi akowskie nie będą się powiększać o dobrze uzbrojonych żołnierzy ludowej partyzantki".

— Proszę wskazać osoby — odpowiedział. — Nie będziemy stawiać przeszkód. Chciałbym jednak uzyskać waszą zgodę — dodał — aby ich broń pozostała w oddziale. Wy macie dość broni.

— Dobrze. — Zgodził się kapitan „Władek". Nasi chłopcy zgłoszą się do was.

— Skąd się dowiedzą, że mają się zgłosić?

Kapitan „Władek" z uśmiechem przyjął to zaskakujące pytanie. — Zostaną o tym poinformowani.

— Więc są tu? Razem ze mną? „Wykrot" już nie ukrywał zdziwienia.

— Tak. Wprawdzie nie wszyscy.

Porucznik przełknął ślinę. Gorzki był jej smak. Niczego więcej nie mógł się dowiedzieć.

Oficerowie powstali z miejsc. Uścisnęli sobie ręce. Bez serdeczności, ale i bez wrogości. Zasalutowali.

„Wykrot" oddalił się sprężystym krokiem w stronę swoich. Zarządził w marszu zbiórkę. Grupa partyzantów w biegu sformowała kolumnę. Las zdołał zaledwie zatrzymać na moment kilka okrzyków. — Cześć! Do zobaczenia!

Okrzyki były przeznaczone dla tych, których rozkaz porucznika nie dotyczył. Oni pozostali na miejscu.

— Cześć! Do zobaczenia! — odkrzyknęli.

* * *

Dowódca batalionu nie przyjął go. Poprzez swego adiutanta kazał mu zameldować się u „Wykrota".

— Pewnie — pomyślał — nie chce się skalać rozmową z byle partyzantem. „Czerwony". Teraz jego pseudonim nabierał wymownego znaczenia. Nic nie określający przed tą całą chryją, stał się w jednej chwili wrogi. Rzadki wypadek w nazewnictwie taki kolorowy pseudonim. Już samo jego brzmienie mogło rozdrażnić dowódcę. Chociaż nie. Był w batalionie podporucznik „Blady". Ale to już nie to.

„Czerwony" poszedł szukać porucznika „Wykrota". Pilno mu było wreszcie skończyć z tą sprawą. Szukał go długo. Tamten jakby się specjalnie przed nim chował. Może z dowódcą uradzili przeciwdziałanie? Ukryć się tego nie da. A komentarze wśród partyzantów mogą okazać się niebezpieczne dla ideologicznej zwartości oddziału. — Bo to niby wojsko apolityczne a tu, ktoś wychodzi i kieruje swoje kroki też do wojska, tylko, że wyraźnie politycznego, które nawiasem mówiąc wcale swej polityczności nie maskuje. Jawnie ją głosi.

Znalazł wreszcie „Wykrota". Zameldował mu się jak nakazywał regulamin służby wewnętrznej.

Tamten przyglądał mu się uważnie. Milczał. Nie kazał spocząć.

„Gęba mało sympatyczna" — sumował w myśli „Wykrot" ocenę stojącego przed nim na baczność partyzanta. Dotąd nie zauważył tego. „A może już patrzę na niego w określony sposób". Oblicze „Czerwonego" przypominało mu kogoś. Kogoś z wizerunku, bo nie umiał tej twarzy ożywić. „Podobny do Lenina".

— Kto wam podchorąży zezwolił nosić brodę?

— Dowódca kompanii — odpowiedział „Czerwony".

Wzrok porucznika ślizgał się po mundurze. Orzełek na czapce był bez korony. Zagotowało się w nim.

— Nosicie nie regulaminowego orła.

„Czerwony" milczał.

— Od dawna w lesie?

— Dwa miesiące.

— Która kompania?

— Druga.

— Pilno wam do swoich. „Wykrot" z pogardą patrzył na „Czerwonego". Wściekły był. „Ze też akurat w grupie, która szła na kontakt z aelem znalazł się ten, ten" ...nie mógł znaleźć dostatecznie ironicznego określenia — „uświadomiony" — wybrnął w myśli.

Przypomniał sobie ze szczególną drobiazgowością incydent sprzed kilkunastu dni.

„Właśnie, „Czerwony" interweniował u niego w sprawie tych dwóch radzieckich skoczków. Mieli zostać wydaleni z batalionu bez broni, na pastwę losu. „Czerwony" skądś się o tym dowiedział i zaproponował, aby ich skontaktować z oddziałem partyzantki radzieckiej albo aelem. Ta myśl mu się wówczas bardzo podobała. Była humanitarna". A „Wykrot" czuł się zawsze oficerem o wysokim poczuciu honoru.

Dowództwo zgodziło się na to. „Wykrot" był tej sprawy rzecznikiem w sztabie. „Jasne. Nie można się już nie liczyć z potęgą ZSRR. Dyktowały to wydarzenia z teatru wojny. Przecież i Mikołajczyk wybiera się do Moskwy. Decyzja była słuszna. Nie można już nie zauważać tej zwycięskiej siły".

— Pilno ci do swoich — powtórzył. Dobrze.

— Nie jestem sam — wtrącił „Czerwony". „Wykrot" spurpurowiał. — Zróbcie zbiórkę.

„Czerwony" zrobił w tył zwrot i spiesznie podążył do kompanii.

* * *

Było ich jedenastu. Gdy sformowali szereg przed namiotem „Wykrota" wzbudzili ciekawość otoczenia. Grupowali się wokół partyzanci z zainteresowaniem oczekując następstw. Cały oddział już obiegła plotka, że grupa kolegów odchodzi do AL.

„Wykrot" kazał przepędzić ciekawskich. „Czerwony" stał na prawym skrzydle szeregu. Czekali aż ktoś nadejdzie z namiotu dowódcy. Czuli się trochę nieswojo.

Minęła dobra godzina. Nikt się nie pojawił i zaczęło ich to już niecierpliwić. Wysyłali „Czerwonego" aby się coś dowiedział. „Wykrota" nie było. Do namiotu dowódcy nie dopuszczała warta.

Czekali dalej. Już z zaciętością.

Pojawił się kapelan batalionu. Łypał na nich złym okiem. Potem zaczął kazanie. Oni milczeli.

Kapelan nie wytrzymał. — Zdjąć orzełki — wrzasnął. Chciał chwycić za beret „Czerwonego".

— Ręce pod kościół — powiedział partyzant patrząc gniewnie na kapelana.

— Baczność! — krzyknął. Na prawo patrz!

Zbliżał się „Wykrot".

— Panie poruczniku! — meldował „Czerwony", przerywając dramatyczną scenę z kapelanem. — Podchorąży „Czerwony" melduje drużynę w składzie jedenastu ludzi do odmarszu.

— Spocznij! — podał komendę „Wykrot". Złożyć broń.

Partyzanci spojrzeli na „Czerwonego". Ten składał u stóp swój automat. Poszli w jego ślady choć szmer niezadowolenia przebiegł szereg. — Karabiny są nasze.

— Taka jest umowa — uspokoił „Czerwony".

Kapelan znów podbiegł do „Czerwonego".

— I pasy też — warknął.

Stali naprzeciw siebie bez słowa. W oczach paliła się pogarda u jednego i drugiego.

„Wykrot" już nie podał komendy. — Możecie odejść — powiedział.

Uczynili to z radością. Za długo już trwało oczekiwanie i ten ceremoniał.

Szli kupą leśnym duktem, złorzecząc kapelanowi. Napotykali kolegów. Na spotkanie wyszedł im także dowódca kompanii. Pożegnali się z nim życzliwie.

Powiedział jeszcze: — Czy tu czy tam. Co za różnica. Spotkamy się w walce o wolną Polskę.

Przyjęli jego słowa z wdzięcznością. On ich rozumiał i nie potępiał. Koledzy reagowali różnie. Byli tacy co mieli ochotę dołączyć. Bali się jednak. Kto wie co się zdarzy. Choćby już parę metrów za strefą obozu. Bywa, że kule latają po lesie. Zabłąkane i „przypadkowe". Inni rzucali za nimi drwiną.

Mały oddziałek znów poczuł się nieswojo. Zerkali ukradkiem za siebie. Coś się musi stać. Jakoś zbyt cicho w lesie. A gdy z tyłu zajazgocze karabin maszynowy?... Wtedy co? Tylko przytomnie paść na ziemię i przeczołgać się bokiem w krzaki. Idą bez broni...

„Czerwony" jakby czuł co myślą. — Nie oglądać się za siebie — mówi cichym głosem. — Spokój i duma, pamiętajcie. W razie czego... na ziemię — potwierdził ich myśli. — Już niedaleko.

Lecz i jego dręczyła niepewność. Jeśli się tam dzisiaj nie zameldują... to też wielkiego rabanu nie będzie. Jakaś potępiająca nota... Szum w sztabie AL akurat na godzinę i kropka. Wojna, że giną ludzie... — nie nowina. Ginąć można w różnych okolicznościach...

KONRAD FREJDLICH

Z cyklu „dorzecze"

diuny

zwinięte w sobie warują u morza
drapiąc się od niechcenia łapą wiatru ostrą
albo wyszukują dla ziemi i wody
miejsca co będzie dogodne na rozejm
lub stają z wymionami wezbranymi
chrzęstem
z których miarowo oset tylko tryska
albo do szpiku odsłaniają suchość
która gruźlicą przejmuje powietrze
lub powalone najazdem cyklonów
drą sobie z rozpaczy pełne garście piachu
zwracając wodzie szkielet oceanu
co padł w tym miejscu jeszcze przed potopem

delta

żyły szły do znużenia jak dżdżownice
na deszcz
znam już miejsca piękniejsze kiedy
wschodzą mięśnie
pisk kręgów co płynące mącą lustro pleców
a potem nurkują wolno pod powierzchnię
stoję pogrążony w kanały i zatoki
biorące odblask od płomienia w środku
gdy ujściem ramion upływają ze mnie
barki ładowne palcami po pokład
jestem w znanym obszarze po widnokres
grzbietu
gdzie się strużki potu w perspektywę zbiegną
a czuję ostro ciężar tych zamyśleń
znoszonych prądem aż po deltę mózgu

koguty

koguty dziobami otwierają ranek
przedłużając pianie o przegięcie szyi
z poczuciem czasu wyrobionym do pół
sekundy
a częściej do dwóch podwiązanych skrzydeł
na koniec milkną z krzykiem odciętym
od głowy
przelewać tłuszcz we wszystkich rosołach
albo zafudnić legendy gdzie je może
dotknąć
tylko niepamięć ostrzejsza niż topór

OD RZĄDÓW LUDOWYCH DO PRZEWROTU MAJOWEGO

Nakładem Wydawnictwa „Wiedza Powszechna" ukazała się książka **Andrzeja Ajnenkiela** pod tytułem **„Od rządów ludowych do przewrotu majowego"**. Jest to żywo napisany popularny zarys dziejów politycznych Polski w okresie po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 aż po przewrót majowy 1926 roku. Praca autora zapełnia dotkliwie odczuwaną dotychczas lukę w naszej wiedzy o tym, tak stosunkowo niedawnym okresie. Nie ma bowiem dotąd ani naukowej syntezy tego okresu ani też nie było pracy, która by w sposób przystępny, a zajmujący mogła przedstawić czytelnikowi ten pełen napięcia czas burzy. A zainteresowanie tymi sprawami jest przecież bardzo żywe. I ci, którzy pamiętają jeszcze ówczesne wypadki, jak i ci, którzy wiedzę o nich wynieśli ze szkoły, pragnęliby niejednokrotnie poznać bliżej historię tych lat.

Książka zaczyna się ukazaniem sytuacji na ziemiach polskich w ostatnich dniach pierwszej wojny światowej. Zaborcy panują jeszcze nad Polską, ale władza ich słabnie. I tu punkt wyjścia — mało kto o tym już pamięta — pierwszy oswobodził się Kraków. Następny etap to powstanie w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Widzimy jego postępowe hasła, ale autor nie szczędzi też i opisów jego słabości. Tymczasem w Niemczech wybucha rewolucja. Do Warszawy przybywa Piłsudski. W Kongresówce, objętej okupacją niemiecką, następuje akcja rozbrajania Niemców, dokonuje tego i Łódź 11 listopada 1918 roku. W Warszawie podporządkowują się Piłsudskiemu różne, nie rewolucyjne siły polityczne, w rezultacie obejmuje on, jako Tymczasowy Naczelnik Państwa władzę.

Jednocześnie wykrystalizowuje się jednolity marksistowski ośrodek myśli i decyzji politycznych, powstaje Komunistyczna Partia Robotnicza Polski. Jej to głównie inicjatywie zawdzięczać należy wielki rozwój Rad Delegatów Robotniczych i Chłopskich. Rady te usiłowały też niejednokrotnie sięgać po władzę, przejmować rządy w wyzwalającym się kraju w ręce robotników i chłopów. Powstają ośrodki robotniczych republik — krwawo rozbrajane później przez władze Piłsudskiego.

Tak w Kongresówce. Nie wszystkie dzielnice mogły jednakowo uczestniczyć w wydarzeniach. Wolna już była Warszawa i Łódź, Kraków i Lublin, ale w Poznaniu czy Katowicach rządzili nadal Niemcy. Dopiero w końcu roku oswobadza się w wyniku powstania wielkopolskiego znaczna część Ziemi Poznańskiej.

Tak wyglądał obraz pierwszych dni państwa, które obudziło się do niepodległego bytu po przeszło 120 latach niewoli, rozdarcia i rządów trzech zaborców. Ale Rzeczpospolita nie była jeszcze zjednoczona. Nie tylko nie miała granic, ale istniały i wewnętrzne podziały — z Warszawy do Poznania jeździło się za paszportami z przepustkami, a podróż do Krakowa stanowiła wielką wyprawę. Autor ukazuje to, co nazywa spadkiem po zaborcach — nierównomierny rozwój gospodarczy, wielowiekowe zacofanie, ale też i bilans wojny — zniszczone fabryki i domy, rozebrane mosty, spustoszone wsie, wygłodzony kraj. Kreśli też barwny obraz codziennego życia i codziennych kłopotów. Ukazuje zarazem działalność państwa, nowe ustawodawstwo, próby politycznej i gospodarczej unifikacji. Wraz ze wzmacnianiem się aparatu państwa, wyraźnym określeniem jego społecznego burżuazyjnego oblicza, następują takie kroki nowych władz jak rozbicie rad delegatów, próby unicestwienia ruchu rewolucyjnego. Burżuazja pragnie bowiem zabezpieczyć swą władzę. Krew robotnicza zalewa ulice.

Kolejny konflikt odradzającego się państwa polskiego to walka o jego granice. Niemcy zostały zwyciężone, ale mają możnych protektorów. W skomplikowanych warunkach rodzą się polskie granice zachodnie. Stoi za nimi również twarda i ofiarna walka powstańca wielkopolskiego i trzykrotne uporczywe boje powstańców śląskich. Ale Ziemia Śląska i to nie w całości zjednoczy się z Rzecząpospolitą dopiero w 1922 roku — cztery lata po odzyskaniu niepodległości.

W rozdziale „Znów wojna" — Andrzej Ajnenkiel omawia wypadki na Wschodzie. Wojna polsko-radziecka, jej przyczyna i kulisy, wreszcie rezultaty — to treść tej części książki.

Konstytucja marcowa i określenie granic państwa — to zamknięcie pierwszego etapu jego istnienia. Autor przedstawia dalej miejsce Polski w powojennej Europie, ukazuje obraz gospodarczy kraju, jego stosunki narodowe i społeczne. Znajdujemy też obraz kultury naszej tego okresu, znajdujemy nazwiska twórców literatury, ówczesnych gwiazd sceny i filmu nieznane dziś szczegóły o początkach radia itp.

Autor po tych obrazach wraca do polityki. Widzimy więc rozgrywki parlamentarne w 1922 roku i ich tragiczny finał — zabójstwo pierwszego prezydenta Gabryela Narutowicza.

Po władzę sięga czołowa siła polskiej reakcji, klas posiadających — endecja. Jednak rządy Narodowej Demokracji sprawowane w sojuszu z chłopskim stronnictwem „Piast", zostają poważnie wstrząśnięte strzałami barykad powstania krakowskiego. Rządy te osłabia też pogarszająca się sytuacja gospodarcza. Nowy rząd Władysława Grabskiego dokonuje reformy waluty, podejmuje kroki celem naprawy gospodarki. Nad krajem zbierają się znów chmury. Niemcy coraz bardziej otwarcie mówią o konieczności rewizji granic ustalonych traktatem wersalskim, ich polityka wpływa na pogorszenie sytuacji gospodarczej Polski, z którą prowadzą wojnę celną. W kraju bezrobocie. Narastają nastroje przeciwrządowe. To zaś między innymi aktywizuje odsuniętego od władzy Piłsudskiego i jego zwolenników. Oddziały jego wkraczają do Warszawy. Po trzydniowych walkach Piłsudski staje się panem sytuacji. Rozpoczyna się nowy okres w dziejach Polski...

Książka Andrzeja Ajnenkiela napisana jest żywo i jasno. Autor unika też pospiesznych ocen i kategoryczności potępień. Jego oceny to według znanego wyrażenia — osąd historyka, a nie akt oskarżenia prokuratora. Tam gdzie brakuje jeszcze dziś materiałów nie waha się przed stawianiem znaków zapytania, sygnalizowaniem wątpliwości. Stąd pracę jego czyta się z dużym zainteresowaniem. Na podkreślenie zasługuje również bardzo duża ilość ilustracji, często zupełnie nieznanych, oraz umieszczenie 10 mapek.

Wydaje nam się, że warto też na zakończenie wezwać autora do kontynuowania podjętego dzieła. Tom drugi jego pracy o Polsce do września 1939 roku, jeśli będzie tak napisany jak cytowana praca, spotka się na pewno z nie mniejszym zainteresowaniem odbiorcy, który otrzymałby w ten sposób nareszcie obraz całego międzywojennego 20-lecia.

ELA.

Andrzej Ajnenkiel. „Od rządów ludowych do przewrotu majowego. Zarys dziejów politycznych Polski 1918—1926". Wydawnictwo: „Wiedza Powszechna. Warszawa 1964. str. 340. cena 25 zł.

SYN WIELKIEGO OJCA

Na książkę tę czekałem od dawna. Najpierw ukazała się ona po angielsku pt. „The Turning Point, Thirty-Five Years in this Century" (Punkt zwrotny. Trzydzieści pięć lat w tym stuleciu) w 1942 roku w samym środku drugiej wielkiej wojny światowej. W siedem lat później, poszerzona i rozbudowana, ujrzała światło w Niemczech, nakładem zasłużonej firmy Fischer-Verlag we Frankfurcie nad Menem pt. „Der Wendepunkt". Przed rokiem ta sama firma wydawnicza wypuściła ją w nowym masowym (ale nie skróconym) nakładzie i egzemplarz z tej serii dotarł do moich rąk. Chodzi o głośną w Europie autobiografię najstarszego syna Tomasza Manna — Klausa Manna, który 25 maja 1949 roku popełnił samobójstwo w Cannes i spoczął snem wiecznym na tamtejszym cmentarzu.

Książkę przeczytałem jednym tchem i nie mogę się nadziwić, że z obfitego dorobku Klausa Manna wydano w polskim tłumaczeniu jedynie najsłabszą jego powieść „Mefisto", natomiast nie pomyślano do tej pory o przyswojeniu naszemu językowi jego rzeczy najlepszej to jest owej autobiografii „Punkt zwrotny". Jeżeli coś zostanie po tym niespokojnym i tragicznym pisarzu, to chyba ta właśnie książka, będąca nie tylko dokumentem życia jednego człowieka, ale także dokumentem całego pokolenia i dokumentem epoki.

Do dziś nie przestaje interesować historyków literatury zagadka jego samobójstwa. Dlaczego ten zdolny i ceniony pisarz rozstał się z życiem w sile wieku i w okresie największych możliwości twórczych? Przyczyn było wiele. Na jedną z nich trzeba zwrócić uwagę. W ósmym rozdziale swej autobiografii, Klaus Mann pisze między innymi: „Do mitów naszego dzieciństwa należała piękna, rozhisteryzowana ciotka, aktorka Karola Mann, zmarła rzekomo na atak serca. Wiedzieliśmy jednak, że w domu matki zażyła trucizny i w straszliwych bólach zeszła z tego świata. Następną po niej była ciotka Lula, starsza od Karoli, ale młodsza od braci Henryka i Tomasza — ciotka Lula powiesiła się..."

W licznej rodzinie Mannów znajdowali się ludzie naznaczeni piętnem śmierci samobójczej. Wydaje się, że i Klaus Mann, dotknięty zapewne obciążeniami dziedzicznymi, znalazł się w końcu na tej samej drodze, co jego dwie ciotki. Jego niespokojna działalność, liczne podróże, zawiłe i skomplikowane życie uczuciowe, podejrzany kult własnej siostry Eryki, doprowadziły go na skraj zwątpienia i ostatecznej desperacji. Niektórzy twierdzą, że głęboko ukrytym źródłem desperacji Klausa Manna było przeświadczenie, iż nigdy nie zdoła wydostać się spod skrzydeł wielkiej sławy ojca, że skazany jest na pozostawanie w jej blasku i cieniu. Bez wątpienia złożyły się na to jeszcze inne pobudki i motywy, których dociec dzisiaj niepodobna.

„Punkt zwrotny", napisany błyskotliwie i z francuską lekkością, rozpoczyna się od opisu domu rodzinnego i dzieciństwa autora a kończy na roku 1945, gdy Klaus Mann, po skończonej wojnie, powrócił do zachodniej strefy okupacyjnej Niemiec. Powrócił w mundurze żołnierza amerykańskiego, jako obywatel Stanów Zjednoczonych, z nadzieją na odrodzenie moralne i duchowe swego narodu, która to nadzieja rychło ustąpić miała miejsca uczuciu zawodu i rozczarowania. Bowiem Klaus Mann, jak wielu pisarzy niemieckich, udał się po przewrocie hitlerowskim, na emigrację z jednym celem: walki o nowe Niemcy. Znacznie radykalniej nastawiony do swojego ojca, nie tylko pisał nowe książki, lecz redagował pisma, występował publicznie, działał. W Amsterdamie, wspólnie z André Gidem, Aldousem Huxleyem i swoim stryjem Henrykiem Mannem, wydawał czasopismo „Die Sammlung", drukujące prace antyhitlerowskich pisarzy emigracyjnych. Od roku 1942 kierował wydawanym w Nowym Jorku czasopismem „Decision", w którym publikowali najwybitniejsi autorzy wielu krajów i języków. Pozbawiony przez hitlerowców obywatelstwa niemieckiego, uzyskał, podobnie jak jego ojciec, zaproponowane mu przez prezydenta Benesza, obywatelstwo czeskie. „Punkt zwrotny" nastąpił wówczas, gdy Klaus Mann jako obywatel amerykański wstąpił do armii. Wiedział już, że Hitler musi ponieść klęskę i chciał czynnie, jako żołnierz, do klęski tej się przyczynić. Kiedy jednak nie dostrzegł ducha odnowy, załamał się. Kto wie, czy i w tym fakcie nie kryje się jedno ze źródeł jego desperackiej decyzji.

Najbardziej dramatyczną częścią wspomnień Klausa Manna są rozdziały, obejmujące lata wygnania. Chciałoby się cytować całymi garściami, ale że nie można, ograniczę się tylko do następującego fragmentu z rozdziału dziewiątego. Klaus Mann pisze w nim: „Na obczyźnie umierało się szybciej i niespodziewaniej niż w kraju. W tej kronice będzie jeszcze mowa o całym szeregu wypadków nagłej śmierci, przy czym najczęściej dotyczy to emigrantów. Wielka epidemia samobójstw i ataków serca przyszła dopiero później, ale już w pierwszych latach tułaczki śmierć okazała się bardzo gorliwa. Głośny adwokat i utalentowany dramaturg Max Alsberg, z którym byłem zaprzyjaźniony, już w samych początkach dość miał emigracji: popełnił samobójstwo w 1933 roku. Następnym był Kurt Tucholsky. Odebrał sobie życie na ziemi szwedzkiej, nie dając przedtem znać o swojej rozpaczy. Jakob Wassermann zmarł śmiercią naturalną, ale przecież życzył jej sobie i przyszła w samą porę. Ten niezwykle pracowity pisarz i wnikliwy myśliciel poddał się swojemu losowi. Pod koniec zjawiał się smutny, z twarzą pełną zmęczenia i lęku. Pragnął wiecznego spoczynku".

Klaus Mann nie posiadał wielkiej odporności i olimpijskiego spokoju swojego ojca. Był niecierpliwy jak Stefan Zweig, jak Józef Roth, z którym spotykali się kiedyś w Paryżu. Klaus Mann podzielił los ludzi niecierpliwego serca: odebrał sobie życie w najpiękniejszy czas — w maju. Czyż w fakcie tym nie kryje się jeszcze jedna ironia historii?

Jan Koprowski

KSIĄŻKI NADESŁANE

F. Gojawiczyńska — Rajska jabłoń — Czytelnik, stron 431, cena zł 10.
G. Bassani — Ogród rodziny Finzi-Continich — PIW, stron 317, cena zł 23.
A. Augustyn — Orzeł i orzełek — WL, stron 154, cena zł 12.
H. Ablewicz — Koncert na cztery ręce — WL, stron 167, cena zł 10.
J. M. Rymkiewicz — Animula — WL, stron 41; cena zł 10.
R. Price — Długie lata szczęścia — Czytelnik, cena zł 15,
Cz. Ajtmatow — Matczyne pole — PIW, cena zł 10.
A. Gruszecka — W ręku potomnych — WL, cena zł 24.
E. Dąbrowska — Dzielnica SAM-ów — WL, cena zł 12.

STANISŁAW CZERNIK

PRAGNĄCA LITERATURA

(Na marginesie książki Anny Kamieńskiej)

Tej książce o nurcie ludowym w literaturze współczesnej przypadł bardzo dobry tytuł: „Pragnąca literatura". Wywodzi się z nizin czytelniczych, zestawiając w sobie podwójną treść: „zaczarowanie książkami", emocje i rozmyślania wrażliwego odbiorcy (był nim pamiętnikarz „Młodego Pokolenia Chłopów") i tęsknota młodego czytelnika do pióra, pragnienie własnej wypowiedzi, a więc zalążek potencjalnego pisarstwa. Tak łączą się dwa korzenie twórczej kultury ludowej: recepcja zjawisk literackich i bodziec twórczy często przez tę recepcję wywoływany.

Anna Kamieńska od dwudziestu lat (związana początkowo z Łodzią w okresie tygodnika „Wieś") żywo i intensywnie zajmuje się problematyką ludowości w literaturze ostatniego dwudziestolecia. Ogłosiła sporo szkiców, uwag, artykułów, recenzji i polemik w czasopismach literacko-społecznych, m. in. we „Wsi", „Nowej Kulturze", „Twórczości" „Tygodniku Kulturalnym", „Kamenie". Cenny summariusz tych różnorodnych prac składa się na „Pragnącą literaturę". „Nie jest to monografia zagadnień i postaci, raczej raptularz przemyśleń i lektur" — powtarzam za słowem wstępnym autorki. Pozornie mogłoby się wydawać, że mamy do czynienia z marginesem spraw literatury. Tak nie jest. Głównie z ogólnych zaniedbań i osobliwego niedowładu krytyki powstał pozór marginesu, ale okazuje się, że coraz wyraźniej rzekomy margines stopniowo nabiera wyższej rangi. Coraz częściej zagadnienia ludowości w pisarstwie współczesnym traktowane są w sposób podstawowy.

Mówi się: nie ma różnych literatur, jest jedna. Zgoda. Ale tę „jedność" rozszczepia się na cząstki za pośrednictwem setek różnych epitetów. Stąd też literatura i popularna, i elitarna, szlachecka i mieszczańska, realistyczna i fantastyczna, psychologiczna i metafizyczna, pseudonaukowa i rozrywkowa, młodzieżowa, dziecięca i kryminalna. I tak dalej, prawie aż do śmieszności. U nas zwolennicy „jednej" literatury prowadzą nieraz dziwną grę czy politykę selekcyjną: wyłączania pewnych odłamów literatury poza granice literatury. Najczęściej ofiarą tej „selekcji" staje się sprawa ludowości pojmowanej jako prymityw lub zgoła najpodrzędniejszy materiał literacki. Jest jedna literatura. Jak najbardziej się godzę, ale z tej „jednej", porozszczepianej na odrębne czynniki składowe, nie można wyłączać cząstek, które z przyczyn wiadomych lub niewiadomych nie podobają się „magom" krytyki, publicystyki, czy nawet nauki.

Dla niektórych przewrażliwionych pisarzy (a trudno, by pisarz nie odznaczał się wrażliwością) wyłączanie ich z granic „właściwej" literatury do jakiegoś getta półliterackiego stawało się często dramatem, rodziło nawet tragedię. Głęboką rozterkę przeżywał wybitny autentysta Jan Bolesław Ożóg, który w niezakłamany sposób, jakimś naturalnym, czy przyrodzonym rozbłyskiem talentu umiał wyrazić w poezji najgłębsze obsesje rodowodu chłopskiego, liryk nie z poszukiwania dziwactw, lecz odkrywania nie jednostkowych, osobistych, przeciwnie, ogólnie działających silnych społecznych wstrząsów wyobcowania. Wybitny krytyk i profesor Kazimierz Wyka porównywał to do drobnotowarowej wymiany, po prostu jak sprzedaż garnka maślanki na targowisku małego miasteczka. Stanisław Piętak, wyrafinowany poeta awangardy i autentyzmu, który przecież stale zaznaczał swoje pochodzenie ze wsi, był rozżalony, oburzony i przybity, gdy podczas wycieczki do Związku Radzieckiego przedstawiany bywał przez kolegów, jako poeta innej miary, po prostu „krestianskij poet", taki sobie autorek jakichś polskich czastuszek. Można mnożyć przykłady. Najdobitniejszy — to sesja naukowa Instytutu Badań Literackich sprzed roku, na której pod przewodnictwem prof. dra Kazimierza Wyki młodzi naukowcy i doktoranci osobliwymi nieraz sposobami oceniali poezję międzywojenną, wyłączając z niej zasadniczo wszystkich „krestianskich poetów", autentystów i nieautentystów (przy sposobności odstawiając „na stronę" i Iłłakowiczównę, i Jastruna, i Piechala). Podobno zabrakło chętnych do opracowania referatów. Zapewne. Woleli iść śladami hetmana.

Warto o tym przypomnieć jako o rzeczach już zawstydzających. Bo cokolwiek jeszcze powiedzą w dziełach lub z katedry, nie zdoła to zmienić procesu przemian. Nurt ludowy ogarnia literaturę w sposób podstawowy, ów autentyzm współczesny, który już nie jest tylko dzieckiem wpływów wiejskich, jak było jeszcze niedawno, lecz autentyzm robotniczy i chłopski, autentyzm piszących inżynierów, techników, sztygarów, agronomów, lekarzy, społeczników i pamiętnikarzy, wielkiej ilości pamiętnikarzy. I przede wszystkim poetów. Lud zmienił się i zmienia, zmienia się również i doskonali literatura autentyczna i autentystyczna. Dziś zagadnienie przeżycia autentycznego w twórczości literackiej jest problematyką naczelną. W poezji obserwujemy znamienne dojście awangardy — w znakomitej twórczości Juliana Przybosia do granic najpełniejszego autentyzmu. Niewątpliwy to triumf powiedziach prasowych z ostatnich miesięcy i tygodni. O znaczeniu autentyzmu przedwojennego i obecnego pisali: Hieronim Michalski, Stefan Lichański, Henryk Bereza, Janina Preger. Tematykę ludową z uznaniem podkreślał Jan Zygmunt Jakubowski. O nowatorstwie autentyzmu nadmieniał Wojciech Natanson w swych interesujących szkicach o współczesności. Stefan Otwinowski, mówiąc o Rybnickich Dniach Literatury — u ich podłoża doszukuje się korzeni autentyzmu. Ileż go widzi twórca „Ponidzia" Waldemar Babinicz w młodej prozie i poezji kieleckiej. A w Łodzi? Niedawny ogólnopolski turniej poetycki Związku Młodzieży Wiejskiej w całej pełni wyróżniał się autentyzmem. Oto wyrwane przykłady wskazujące, jak znamienna zmiana rozpoczyna się w naszym życiu literackim. A zachodzi niemal samorzutnie, spontanicznie, ale na podłożu ugruntowanym już — śmiem sądzić — przez międzywojenny autentyzm.

Książka Anny Kamieńskiej dotyka tych kwestii. Dziś jest przypomnieniem niedawnych i już w znacznym stopniu przezwyciężonych spraw. Jakże pouczająca książka w swoim zakresie.

Bo oto — chociaż pewnie długo nie będzie się to podobało krytykom, recenzentom i publicystom literackim (nie wykluczając naukowców) — zjawia się tym razem jedna literatura — narodowo-ludowa od korzeni poprzez pień, gałęzie, kwiaty i owoce — własna, nie naśladująca ani Zachodu, ani Wschodu, masowa — gdyż dla wszystkich (co nie wyklucza wysokiej rangi artystycznej), prawdziwie całkująca, prawdziwa pragnąca literatura naszych czasów.

50 ŚWIECZEK Horacego Safrina

Ten kilkujęzyczny literat, długoletni dziennikarz, aktor, reżyser i popularny prelegent, większy oddech twórczy wziął dopiero stosunkowo niedawno, a w niektórych potencjalnych dziedzinach swej działalności pisarskiej wcale się jeszcze nie zaczął.

Czytelnicy pism codziennych i niektórych satyrycznych znają Horacego Safrina głównie jako satyryka, autora krótkich, rzadko kiedy dłuższych, wierszyków, takich to, jakie lubią niektórzy redaktorzy, gustujący w spokoju i zatroskani o masową poczytność swych organów — a więc wierszyków gładkich, broń Boże, nietrudnych i przede wszystkim nie kontrowersyjnych. Jest to satyra, rzecz jasna, w jakimś skromnym zakresie i przydatna, ale brak jej przymiotów i rangi satyry ambitnej, dociekliwej, pisanej z autentyczną pasją. Sprawa dość prosta — Safrin nie ma temperamentu satyryka, człowieka o wiecznie podrażnionej przez mitologicznego sępa wątrobie. Jest na to zbyt łagodny, zbyt pogodny i może zbyt zgodny.

Może dlatego ma ciekawsze, niż w gatunkach ściśle satyrycznych, osiągnięcia w bajce zwierzęcej (obszerne cykle w „Oślej szczęce" i „Musze na cokole"). Bajka pod piórem dzisiejszego bajkopisa — wiersz to zresztą nader rzadki — przedzierzgnęła się w utwór rozrywkowy. Safrin jest w pełni świadom jej metamorfozy, toteż nie stara się serio mentorzyć, lecz zabawia.

Nim jednak powiemy coś więcej o specyfice Safrinowego humoru i głównym polu jego twórczości, kilka słów o Safrinie-poecie. Nie, nie posiada on ambicji nowatorskich, ani nawet ambicji dotrzymywania kroku nowszym kierunkom formalnym. Pisząc wiersze, posługuje się w zasadzie poetyką, która święciła triumfy w latach jego młodości — jest to poetyka późnej Młodej Polski, którą Safrin, dzięki kulturze artystycznej, szczęśliwie ostrugał z jej obsesyjnych manieryzmów.

Safrin-poeta, na pewno nie będąc nowatorem w sensie formalnym, może podobnie jak Musset, oznajmić, „że pije z własnej szklanki". Posiada bowiem własny świat poetycki. Jest to świat Starego Testamentu, apokryfiki biblijnej, przypowieści talmudycznych i nowszych dziejów Izraela od fatalnego roku 70 n. e., aż po martyrologiczne lata ostatniej wojny. Owocem rzetelnej wiedzy Safrina w tej dziedzinie i przeżyć ostatniej wojny stał się tom wierszy „Kain i Chewel".

Ale Safrin główny, to przede wszystkim gawędziarz-folklorysta. Tu oto leży zasadnicze „złotonośne" (nie tylko dosłownie!) „poletko pana Safrina". Koledzy i słuchacze występów autorskich Safrina znają go jako fenomenalnego gawędziarza-humorystę, strzelającego dosłownie tysiącami anegdot.

Pod wpływem przemian społeczno-ekonomicznych na terenie dzisiejszej polskiej wsi, czy na podwórku robotniczym, ginie dość szybko i przepada bezpowrotnie wraz z innymi reliktami folkloru wiejskiego czy przedmiejskiego staroczesna i „niedawnoczesna" anegdota. O ile jednak tragiczniejsza jest sytuacja żydowskiego folkloru. Na przestrzeni niespełna roku zamordowany został naród. Znaczna część ocalałych wyemigrowała na ziemię swych legendarnych powołań. Ludzi, co pamiętaliby dawne jest niewielu, drugiego, obdarzonego tak fantastyczną pamięcią jak Safrin — chyba nie ma. Namawialiśmy nieraz Safrina, gdy mozolił się nad wymyślaniem 1001-szej w satyrze minionego okresu fraszki na niedbałego świetlicowca, by zapisywał to, co mógł. Zaczęło się od wcale zręcznego, nie pozbawionego wdzięku przerymowania w konwencję staropolskiej facecji anegdot, przypisywanych legendarnemu sowizdrzałowi żydowskiemu z XVIII wieku Herszele z Ostropola i pokrewnych wyczynów głupkowatych Żydów z Chełma. (Przeuroczy cykl w „Oślej szczęce", wydatnie rozszerzony w „Głupcach z Głupska"). Przyszła wreszcie kolej na anegdotę prozą: cykl „W moim rodzinnym mieście", „Mucha na cokole" i obszerna „Antologia humoru żydowskiego", ostatnia i najambitniejsza książka Safrina „Przy szabasowych świecach". W sumie gra była warta świeczki. Sukcesem stał się łódzki bestseller przy „Szabasowych świecach". Autor zapanował intelektualnie nad materiałem wyszperanym w większości wypadków w zakamarkach własnej pamięci. Doskonale je, moim zdaniem, usystematyzował, nadając im — poprzez właściwe ułożenie w rozdziałach problemowych i wyposażając w niezbędny komentarz autorski w tekście oraz w przypisach i przedsłowiu — znaczną wartość poznawczą. Powstała książka o znacznej vis-comica, choć w niejednym wypadku zmusza ona czytelnika nie tyle do śmiechu, co raczej do uśmiechu przez łzy.

Niemłody pisarz, obchodzący właśnie złote gody z literaturą, bynajmniej się nie wypisał. Safrin ma za sobą bajecznie barwne i bogate życie. Czegóż to nie był świadkiem. Jakich ciekawych ludzi znał! Najpierw w dziwnej krainie dzieciństwa między Monasterzyskami, Stanisławowem i Kołomyją, potem we Lwowie, gdzie między innymi jako delegat młodzieży szkolnej brał udział w pogrzebie Konopnickiej i w Wiedniu — ostatnie lata francjozefowej ery. W pierwszej światowej, jak to lubi formułować z żartobliwym patosem, „z wiadomym skutkiem wspierał orężem cesarza i cesarstwo". Przez pół dwudziestolecia objeżdżał systematycznie na wozie — często i pod wozem Tespisa całą Huculszczyznę, całe Pokucie itd. Safrin posiada kolosalną, w drobnej zaledwie części przekazaną dotąd czytelnikowi wiedzę o życiu minionych już środowisk, profesji, grup etnicznych itp. Najobfitsze nawet kompendium anegdot tej wiedzy nie przekaże. Przekazać ją tylko potrafi pamiętnik, powieść autobiograficzna czy zgoła inna powieść czy antypowieść, powieść na serio, czy powieść humorystyczna.

Należy Jubilata zobligować przed czytelnikami do jej napisania.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

MALEŃKA DROGA DO NIEBA

Twórczość reżyserskiej pary Ewy i Czesława Petelskich, a w każdym razie te filmy, które w ich wcale już licznym dorobku są najważniejsze, liczą się najbardziej, charakteryzują dwie cechy: Petelscy lubią tematy dramatyczne o wielkim napięciu wewnętrznym, sprawy nieraz okrutne, zawsze niełatwe; z drugiej zaś strony już w realizacji, w sposobie podejścia i do treści i do tworzywa wykazują pewien dystans, znaczne opanowanie, opisowy spokój, nieraz wręcz oschłość.

W kilku filmach szczególna ta sprzeczność między tematyczno-treściowymi gustami reżyserów i warsztatem, czy też raczej samym trybem opowieści na ekranie nie wychodziła filmom, a w każdym razie wielu w nich scenom, na dobre. Wyczuwali to, jak myślę, i sami Petelscy, poszukując tematów coraz bardziej ważkich i dramatycznych, jednocześnie zaś coraz bardziej surowych i okrutnych — ten proces pogłębiał się od „Bazy ludzi umarłych" poprzez „Kamienne niebo" i „Czarne skrzydła" aż do „Naganiacza" (który ktoś określił: film jednej, wielkiej i straszliwej sceny).

Na tym tle najnowszy film Petelskich, „Drewniany różaniec" według powieści Natalii Rolleczek, budzi pozytywne zdziwienie. Jest to zdziwienie, film nie stanowi bowiem prostego przedłużenia zarysowanej dotąd linii poszukiwań twórczych, lecz spore linii tej odwrócenie; zdziwienie jest pozytywne, rezultat bowiem okazuje się dziełem żarliwym i ważkim.

Jesteśmy w przedwojennym sierocińcu sióstr zakonnych, gdzie wychowywane są i pracują młode dziewczęta; doceniając wagę ich trudnych przeżyć, trudno jednak napięcie uczuciowe filmu przyrównywać do „Naganiacza" na przykład — jesteśmy w rejonach niejako z natury rzeczy spokojniejszych, o dramaturgii ukrytej i do ukazania niełatwej. Jednocześnie Petelscy nie czynią żadnych zawiłych zabiegów w realizacji, by swój temat udramatyzować — opowiadają jak zwykle z dystansu, spokojnie, raczej chłodno.

Myślę, że właśnie wskutek tego film wywiera mocne wrażenie — uderza rzeczowością, swoistą dokumentarnością, oschłością nawet. Taka już jest natura ludzka — oglądając galerię nieszczęśliwych, okaleczonych i wciąż okaleczanych psychicznie i moralnie dziewcząt, chciałoby się czynić to w aurze współczucia z nimi, w atmosferze jakiegoś ciepła; to mogłoby stanowić dla widzów izolację od ostrości oskarżenia, stawianego na ekranie. Ponieważ nie ma tego w filmie, ukazywane fakty w swojej sumie stają się dotkliwym i gorącym oskarżeniem nieludzkiej monomanii, leżącej na dnie i u źródła każdego fideizmu.

Siostry zakonne w filmie Petelskich wyznają, choć każda nieco inaczej, to samo przekonanie (sformułowane w filmie dosłownie przez jedną z nich), że każdy z nas ma swoją własną, maleńką drogę do nieba i idzie tą drogą poprzez wyrzeczenia i ofiary, smutki, przerażenia i ciężary życia, zwielokrotnione jego bezbarwnością, trudem, wewnętrznym rozbiciem. Choć dziewczęta żyją w gromadzie, każda z nich jest sama ze swoimi sprawami, z którymi dać sobie rady nie może — nad wszystkim zaś unosi się jak ciężki opar najsmutniejsza z wiar — niesklecona.

Owa „maleńka droga do nieba", ukazana w filmie, przeraża swoją długością, lecz bardziej jakością, każe wątpić i w samą podróż i w celowość jej odbywania. Film mądrze, bo nie wprost, bez deklaratywności, ukazuje zaułki zakłamania i fanatyzmu; na przykładach losów kilku dziewcząt demonstruje nieludzkość nie tylko pedagogiki fanatycznej, lecz i fanatyzmu same go — w najcięższych momentach swego młodego życia dziewczęta w końcu potrafią tylko jedno: inaczej, niż na rozkaz, inaczej, niż według planu codziennych zajęć — modlą się.

I ten obraz koronuje wywód filmu: jesteśmy w zamkniętym kręgu, z którego nie ma wyjścia. Jeżeli idea, przyłożona do życia, nie pasuje, tym gorzej dla życia — taka jest praktyczna wykładnia dogmatów odczłowieczonej wiary.

„Drewniany różaniec" jest filmem, w sensie „szufladki konwencji", historycznym — jego akcja dzieje się przed wojną. Nie potrafiłem — i nie sądzę, by w pełni to potrafił ktokolwiek z widzów — traktować jednak filmu jako „opowieści ze smutnej i złej przeszłości", i to z dwu podstawowych przyczyn: zobaczyłem w filmie celne potępienie każdego zacietrzewienia i fanatyzmu (choć w tę stronę wiedzie tylko jego materiał myślowy, echa, cienie, skojarzenia) — i, co znacznie ważniejsze, dobrze wiem, że żyjemy w kraju, w którym tradycje wychowania religijnego i pedagogiki fideistycznej są do dziś nie tylko żywe, lecz i uparte, wciąż walczące o rząd dusz.

Przewiduję więc wokół „Drewnianego różańca" i spory hałas i milczenie jednocześnie. Hałas tych, którzy potępiać będą „bezbożniczą" wymowę filmu lub udowadniać zamierzchłość jego faktów i też, lub podważać jego wymowę wskazywaniem na słabości artystyczne (które zresztą są wcale liczne, lecz nawet rażąc, nie decydują o wymowie filmu) — wszystko to w imię zagwarantowanej w Polsce wolności sumienia (fanatyzm wiary w wolności sumienia widzi bowiem zazwyczaj i tylko atrybut wierzących i nikogo innego). Z drugiej strony przewiduje także milczenie — właściwie chęć przemilczenia, zignorowania niewygodnego krzyku, jak myślę, równie nieskuteczne.

Staram się nie być fanatykiem niczego, nawet laickiego wychowania i laicyzacji życia w ogóle — dlatego nie sądzę, iżby „Drewniany różaniec" odniósł, a nawet mógł odnieść błyskotliwy sukces u publiczności; nie sądzę także, iż siła jego argumentacji okaże się w pełni i natychmiast skuteczna. Na tym jednak froncie sporu ideowego — szczególnie przecież drażliwym i ważnym — każdy fakt, naruszający spokój zaśniedziałych sumień i fanatycznych umysłów jest istotny.

Dlatego namawiam wszystkich Czytelników, także tych, którzy są z góry filmowi przeciwni: idźcie zobaczyć „Drewniany różaniec".

LECH PIJANOWSKI

„Drewniany różaniec" — scenariusz według powieści Natalii Rolleczek pod tym samym tytułem opracował Czesław Petelski; reżyseria: Ewa i Czesław Petelscy, zdjęcia: Stefan Matyjaszkiewicz; muzyka: Tadeusz Baird.

Udział biorą: Elżbieta Karkoszka, Barbara Horawianka, Zofia Rysiówna, Jadwiga Chojnacka, Jolanta Bohdal, Halina Kowalska i inni.

Produkcja: Zespół Realizatorów Filmowych „Iluzjon".

Fotos z filmu „Drewniany różaniec"

PÓŁKA z książkami

ROZPRAWA HENRYKA KATZA

Profesor Uniwersytetu Łódzkiego, Henryk Katz, ogłosił nową książkę*), wobec której nie można odnieść się obojętnie. Chociaż rzecz ma charakter naukowy i napisana została z uwzględnieniem całej aparatury bibliograficznej, czyta się ją jak najbardziej zajmującą opowieść. Nikt z ludzi, nie obznajomionych z tym przedmiotem, nie ma wyobrażenia, jak wielkie i przyjazne echa obudziło powstanie styczniowie w Wielkiej Brytanii, jaki wyzwoliło ruch na rzecz walczącej o niepodległość Polski, zwłaszcza wśród angielskich robotników. Henryk Katz nie tylko przypomniał znane fakty, ale odkrył nowe, uporządkował je, usystematyzował, objaśnił i ocenił. Dla czytelnika polskiego nieduża objętościowo (95 stron druku), ale ważna jest ich fakty i wydobytą z nich problematykę praca Henryka Katza daje wiele materiału do rozmyślań i do rewizji niektórych zastarzałych poglądów o obojętności Wielkiej Brytanii wobec ruchów wolnościowych w Polsce. Wiek dziewiętnasty, ten wspaniały wiek rozwoju cywilizacji, idei humanizmu i wiary w postęp, był również manifestacją sympatii ludu Europy dla polskich powstańców, zarówno w okresie listopada 1830 jak i w czas powstania styczniowego 1863 roku.

Rozprawa Henryka Katza, napisana rzeczowo, poparta bogatym materiałem źródłowym, obfitująca w cytaty z czasopism i książek, jest lekturą krzepiącą. Dowodzi ona, iż walka o wolność, choćby nawet chwilowo przegrana, budzi poparcie wszędzie, głównie i przede wszystkim wśród ludzi pracy. Zwracamy uwagę na tę cenną pozycję łódzkiego historyka.

J. K.

***) Henryk Katz: „Robotnicy angielscy wobec powstania styczniowego". Łódź 1964 r.**

„ŁAD I NIEŁAD"

To już druga — po „Domenie polskiej" — książka Pawła Hertza o swoistym, rzadko spotykanym u innych naszych pisarzy, profilu. Po większej części i w gatunkowej zasadzie, jest to dziennik lektury, notatki na marginesie książek, czytanych i komentowanych według oryginalnej zasady wyboru. Brzmi ona: „bez historii i bez historiozofii literatura w ogóle niewiele ma sensu, literatura polska zaś ma go szczególnie mało". A to już nie tylko zasada, to bardziej program, polemika z tymi, którzy — mówiąc słowami Hertza — traktują literaturę jako zawód i od strony zawodu, a nie jako część kultury narodowej i od strony współuczestnika historii, która przede wszystkim tę kulturę kształtowała.

Stąd w tekstach komentowanych przez ostatnią książkę Hertza przewaga piśmiennictwa typu zapisu historycznego, obyczajowego, pamiętnikarskiego nad fikcją literacką. Stąd uparta rehabilitacja wielu zapomnianych, niedocenionych pisarzy polskich i obcych (Odyńca, Gomulickiego, Micińskiego). Stąd wreszcie mnóstwo cennych propozycji edytorskich i sugestii badawczych, wyrosłych z troski o maksymalne poszerzenie dostępnego przeciętnemu czytelnikowi zaplecza polskiej i obcej tradycji kulturalnej. I chociaż w niektórych wskazaniach zdaje się ponosić Hertza zacietrzewienie apologety, choć prowokuje do dyskusji szczególnie jego historiozofia, wyłożona najobszerniej w szkicu „Europeizm i literatura polska" — trudno przecenić chwytającą za serce i przemawiającą do rozsądku troskę pisarza o wielkość i bogactwo literatury, kultury narodowej. Tym bardziej, że jest to pisarz, któremu można pozazdrościć przenikliwej znajomości obcych kultur i literatur...

Z. P.

Paweł Hertz: „Ład i nieład". PIW 1964 r., s. 405, cena 25 zł.

„AFRASIABE"

To już czwarta książeczka poetycka Ryszarda Daneckiego, absolwenta Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie, a w Poznaniu — aktywnego działacza literackiego (współtwórcy grupy „Wierzbak", opiekuna Klubu Literackiego przy ZLP) i ruchliwego publicysty kulturalnego (prowadzi tenże dział w Expressie Poznańskim). Czwarta — a jakby pierwsza: jest w „Afrasiabe" ta sama niecierpliwość i wielokierunkowość lirycznych poszukiwań, co w debiutanckim „Czarnym sześcianie ciszy", ten sam niepokój w obieraniu i porzucaniu patronów literackich, mniej jednak znanych i uznanych od lirycznych protektorów wcześniejszych książek Daneckiego, od np. Majakowskiego czy Eluarda.

Są zresztą w „Afrasiabe" i wiersze dawniejsze, które nie weszły do poprzednich tomików, ale kompozycyjny wątek, liryczny notatnik z podróży do Azji Środkowej jest już stosunkowo świeżej, nie tylko tematycznie, daty. Notatnik liryczny — to chyba najlepsza formuła poezjowania Daneckiego, eksponująca zresztą i najlepsze jego walory, autentyzm realiów, smak orientalnej egzotyki, której (mimo rozległej genealogii, prowadzącej aż do Słowackiego i dalej) w naszej poezji nigdy za wiele. Ale w notatniku, taka to już jego reporterska uroda, najłatwiej też przechowują się pośpieszne szkice, pomysły, surowy protokół z przeżyć i obserwacji: w „Afrasiabe" tego surowca lirycznego — zwłaszcza w proporcji do szczupłości książeczki — jest sporo, szczególnie nadmiernie eksploatuje poeta powtórzenie, refren („Opis kropli"), zbyt za to ostrożnie, ascetycznie, wyzyskuje materiał metaforyczny, owe egzotyczne, a zwłaszcza rodzime realia, emocjonalne i intelektualne watki własnej biografii. („Podejrzenie").

Nie jest to źle, gdy poeta gromadzi na półce kolejne notatniki liryczne, wprawiając w nich pióro, wyobraźnię do naprawdę własnego i pełnego autoportretu. Może będzie nim już następna książka autora „Afrasiabe"?...

Z. P.

Ryszard Danecki: „Afrasiabe". Wyd. Poznańskie. 1964, s. 44, cena 7 zł.

Z łódzkich tuwimianów

JANUSZ DUNIN

„...Miałem w Łodzi
Kamienicę Zaklętą,
Tam nie trzeba było
mieć dolarów
Bo każde piętro
Było pokładem okrętu".

J. TUWIM „WTEDY"

Poeta, którego 70-lecie urodzin i 11-lecie śmierci obchodzimy w tym roku pozostaje w polskiej literaturze postacią żywą, a jego zasług w rozwoju języka poetyckiego nie da się zaprzeczyć.

Był w poezji rewolucjonistą, rozbił kanony poezji „Młodej Polski" i przez wprowadzenie nowego języka zbliżył ją do współczesnych mu ludzi.

Ideowy rozwój Juliana Tuwima był ciągły i konsekwentny, było to dojrzewanie w starciach z wszelkiego rodzaju zaślepionym nacjonalizmem, którego szczytową realizacją był hitleryzm.

Ostatnio udostępnione wspomnienie poety o młodzieńczych latach (w 5 tomie „Dzieł"), wspomnienia siostry poety i jego przyjaciół, przybliżyły nam okres młodości poety i obraz Łodzi z początku naszego wieku.

Pragnę przypomnieć kilka nieznanych szerzej faktów dotyczących łódzkiego okresu w życiu Juliana Tuwima.

PIERWSZA GRUPA LITERACKA

Tuwim jak wiadomo, debiutował poza Łodzią. Ale nie stronił też młody poeta od łódzkiego środowiska literacko-artystycznego, skupionego wokół lokalnej prasy i teatrów. Wiemy, że współpracował z łódzkim kabaretem literackim Bi-Ba-Bo, który istniał tu w latach 1914—15. Bibliografowie poety przeoczyli jeden niesłychanie znamienny fakt w bibliografii twórczej pisarza. W roku 1914 Tuwim uczestniczy w pierwszej w swym życiu grupie literackiej. Duchem ruchu był Andrzej Nullus (Fromm) poeta i dziennikarz łódzki, człowiek uzdolniony i rzutki, który cieszył się opinią dobrze zapowiadającego się twórcy. Postać Nullusa była dobrze znana jeszcze bywalcom kawiarni międzywojennej Łodzi. Talent jeśli w ogóle istniał, został zniszczony przez alkohol. W latach bezpośrednio poprzedzających wielką wojnę, Nullus był kimś, z kim w kulturalnej Łodzi się liczono.

Na wiosnę 1914 r. ukazała się redagowana przez Nullusa jednodniówka „Życie łódzkie" — zgromadziła ona pióra lokalne, a nawet sięgnęła poza Łódź — pisali tu Zofia Nałkowska i Leo Belmont „Którzy idziemy... słowo wstępne redakcji" zaczynały znamienne słowa, które świadczyły, że redaktor upatrywał w powstaniu jednodniówki, nowej ery w literaturze fabrycznego miasta i był przekonany, że przekształci się ona w czasopismo. Trudno dziś twierdzić co było przyczyną upadku grupy „Życia łódzkiego" czy przestała ona istnieć natychmiast po ukazaniu się jednodniówki, czy dalsze jej prace przerwała wojna. Ta inicjatywa literacka jest godna przypomnienia gdyż tu umieścił jedne ze swych najwcześniejszych wierszy właśnie Roch Pekiński — tak bowiem podpisywał w tych łódzkich latach swe wiersze Julian Tuwim.

PIERWSZY ODCZYT

Anonse prasowe i afisze doniosły, że dnia 14 grudnia 1915 r. odbędzie się odczyt p. Juliana Tuwima pt. „Apostołowie brutalnego jutra" — Nowy Kurier zawiadamiał „Pozostałe w bardzo niewielkiej ilości bilety, nabywać można w składzie muzycznym „Freiberga i Koca", a w dzień odczytu — w kasie sali odczytowej". Odczyt był sporym wydarzeniem literackim i wywołał w łódzkim światku mieszane uczucia. Kronikarz Nowego Kuriera Łódzkiego odnotował, że „starannie opracowany temat dał słuchaczom możność zapoznania się z subiektywnym poglądem prelegenta na kierunek futurystyczny zaś słuchaczom odczyt podobał się i młodego antyfuturystę nagrodzono oklaskami".

Najobszerniejszą i utrzymaną w przychylnej tonacji informację prasa Andrzeja Nullusa — zamieściła po odczycie „Gazeta Łódzka". „Dowcipny, cięty, barwnym stylem, brawurowo odpowiedzialny felieton o „Apostołach brutalnego jutra", podobał się bardzo słuchaczom, którzy zgotowali p. Tuwimowi serdeczną owację".

Dzięki relacji Nullusa wiemy, że odczyt Tuwima składał się z dwóch części — w pierwszej omówił w sposób skrótowy i raczej informacyjny futuryzm włoski, w części drugiej ustosunkował się do futuryzmu rosyjskiego. Ale prelekcja wywołała jeszcze inny skutek, oto doczekał się Tuwim pierwszego zapewne w swym życiu paszkwilu. W Nowym Kurierze Łódzkim w kilka dni później pojawił się felietonik — „Odczyt", który podpisał niejaki Poa.

ŁÓDZKIE LISTY
JULIANA TUWIMA

Poeta w ostatnich latach swego życia coraz częściej wracał pamięcią do swoich łódzkich lat. Świadectwem tego są listy, które pisał do łodzian. Kilka z tych listów dzisiaj zamieszczamy. Pierwszy z nich napisany do Felicji Pieńkowskiej współwłaścicielki Łódzkiej Wypożyczalni Książek przy ul. A. Struga. Wypożyczalnia ta przez wiele lat w braku społecznych bibliotek odgrywała ważną rolę w kulturze miasta. Właścicielkami wypożyczalni były siostry Halina i Felicja Pieńkowskie.

Drugi list jest bezpośrednim wynikiem pierwszego. Pani Felicja miała kłopoty z utrzymaniem lokalu i zwróciła się z tą sprawą do Tuwima.

J. TUWIM

1. I. 1953

WIELCE SZANOWNA PANI!

Piszę do Pani w nadziei, że przypomina Pani sobie młodocianego abonenta książek sprzed lat... co najmniej 45-ciu. Z radością i wzruszeniem dowiedziałem się, że wypożyczalnia przy ul. Andrzeja No 5 jest czynna i przez Panią prowadzona. Ale tej wiadomości towarzyszyła i druga — smutna: że siostra Pani już nie żyje. Pragnę, aby Pani wiedziała, że zawsze z czułością wspominam obie miłe Panie i wypożyczane książki, i katalogi (jak żywe mam je przed oczyma...). Mityczne, legendarne czasy! Czy mogłem wtedy marzyć, że na tych półkach znajdą się kiedyś książki przeze mnie napisane? — Droga Pani! Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w jakiś sposób odwdzięczyć się starej łódzkiej Wypożyczalni za wszystkie dawne doznania i „pokarm duchowy", jaki jej zawdzięczam. Czy mógłbym być w jakikolwiek sposób pomocny Pani? Jeżeli ma Pani jakieś trudności przy nabywaniu nowych książek dla nowego pokolenia łódzkich czytelników, proszę mi tylko słówko napisać — a zasilenie Wypożyczalni nowościami wydawniczymi sprawi mi wielką radość. Mam w tej dziedzinie spore możliwości. Jednocześnie (ale bez związku z poprzednią sprawą) zapytuję, czy Wypożyczalnia nie posiada książek już niepotrzebnych, wycofanych z obiegu? Jeśli leżą gdzieś bezużytecznie, chętnie je nabędę — z powodów choćby sentymentalnych, nie mówiąc już o pasji kolekcjonowania rozmaitych starych powieści, zbiorów poezji itd.

Serdecznie Panią pozdrawiam i załączam najlepsze życzenia noworoczne.

(—) JULIAN TUWIM

JULIAN TUWIM
Warszawa
Nowy Swiat 25

Warszawa, 1. VIII. 1953

Zwracam się do Wydziału Kultury i Sztuki przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Łodzi z wielką, gorącą prośbą. Jako „łódzkie dziecko" związany jestem z moim ukochanym miastem rodzinnym mnóstwem wspomnień, do których ciągle powracam — i im starszy jestem, tym silniej one we mnie grają. M. in. z ogromną czułością i wzruszeniem wspominam starą wypożyczalnię książek przy ul. Andrzeja No 5. Był to mój pierwszy „uniwersytet" dziecinny, pierwsza biblioteka, z której przez długie lata chciwie czerpałem wiedzę. Moimi zawsze życzliwymi doradczyniami były wówczas właścicielki tej wypożyczalni, panny Pieńkowskie. Do dziś zachowałem o nich najserdeczniejszą pamięć i uczucia wdzięczności. Została teraz tylko jedna z nich, staruszeczka, panna Felicja... I oto dowiaduję się, że czynniki urzędowe zamierzają usunąć ją z tego legendarnego (dla mnie) lokalu, uniemożliwiając w ten sposób dalsze prowadzenie wypożyczalni. Wobec tego ośmielam się prosić Wydział Kultury, ewentualnie instytucje nadrzędne, ostatecznie decydujące, aby Felicji Pieńkowskiej zezwoliły nadal pracować — w umiłowanym przez Nią zawodzie — i żeby się tej miłej, dobrej Pani żadna krzywda nie stała.

Przepraszam za nieurzędowy ton tego listu, ale w sprawie starej łódzkiej wypożyczalni książek przy ul. Andrzeja nie potrafiłbym napisać sucho i oficjalnie.

Z poważaniem

(—) JULIAN TUWIM

Trzeci list jest odpowiedzią poety na list Wacława Pryta z zawodu administratora domów w Łodzi, z zamiłowania bibliofila, napisany pod wrażeniem pogrzebu matki Tuwima. Pogrzeb odbywał się w Łodzi i W. Pryt, który postanowił złożyć hołd matce ulubionego poety, uczestniczył w pogrzebie. Poruszony tym, że tak niewielu łodzian stanęło w owym dniu nad mogiłą matki poety, napisał do Tuwima bezpośredni list. Przy okazji zwrócił się z zapytaniem w sprawie plotek jakie wokół osoby poety krążyły w owych latach.

* * *

Warszawa, 16. VI. 50

SZANOWNY PANIE!

Najserdeczniej Panu dziękuję za miły, wzruszający list i za to, że Pan złożył hołd mojej ukochanej Matce męczennicy. To co Pan pisze o miłości do moich wierszy i wrażeniu jakie na Panu zrobiły „Kwiaty Polskie" jest dla mnie, proszę mi wierzyć, wielkim szczęściem. Nie drukowane recenzje, choćby najpochlebniejsze, dają pisarzowi bodziec do dalszej twórczości, ale właśnie takie listy, jak od Pana — człowieka nieznanego. W tym wypadku radość moja jest tym większa, że to pisał łodzianin.

Wiadomość, jakoby cenzura zabroniła drukowania „Kwiatów" jest zwykłą plotką puszczoną przez wiadome sfery. Wkrótce ujrzidzie drugie wydanie I-go tomu. A tom drugi to jeszcze daleka sprawa: trzeba go najpierw napisać, a mam dotychczas tylko fragmenty, pomysły, notatki.

Serdecznie Pana pozdrawiam

(—) JULIAN TUWIM

Redakcja dziękuje p. mgr Krystynie Pieńkowskiej, p. Wacławowi Prytowi oraz Dyrekcji Miejskiej Biblioteki Publicznej im. L. Waryńskiego za udostępnienie listów Juliana Tuwima.

CO SIĘ DZIEJE?

Wielki Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Zespołów Artystycznych dobiega końca. Po ocenie teatrów poezji, dramatycznych (Łódź — maj 64) i lalkowych odbywał się ostatnio krajowy przegląd amatorskich widowisk plenerowych. I tu — miła wiadomość: jedną z siedmiu równorzędnych nagród Ministerstwa Kultury i Sztuki otrzymał przedstawiciel naszego województwa — zespół z Konopnicy Wieluńskiej za inscenizację „Starej Basni" J. Kraszewskiego w reżyserii Piotra Skotowskiego. Przy okazji warto wspomnieć, że p. Skotowski jest świeżo upieczonym absolwentem Korespondencyjnego Studium Teatralnego prowadzonego przez Centralną Poradnię Amatorskiego Ruchu Artystycznego. Gratulujemy!

* * *

Akcja pod hasłem „Wieś bliżej teatru" zatacza coraz szersze kręgi. Na przykład Powiatowy Dom Kultury w Sieradzu wprowadził ją do stałych swoich zadań. Organizuje spotkania z aktorami i reżyserami, montuje wstawki programów teatralnych. Troskliwą opieką „instruktażową" objął 25 zespołów amatorskich. Przeprowadza odczyty i pogadanki nt. wychowawczej roli teatru w wielu miejscowościach pow. sieradzkiego. Przy PDK powstał stały punkt informujący o sztukach granych aktualnie przez teatry objazdowe. Zorganizowano też 15 wycieczek „teatralnych" w których brało udział ponad 1000 osób z miejscowości, do których teatr dojechać nie może. A wyniki? O 20 proc. wzrosła frekwencja na przedstawieniach teatralnych. W 20 miejscowościach powstały koła przyjaciół teatru, założono też nowe zespoły amatorskie.

Dodajmy, że nie tylko PDK w Sieradzu podjął tę pożyteczną działalność na rzecz ożywienia kultury teatralnej. Bo oto Miejski Dom Kultury w Warcie otrzymał właśnie 15 tys. zł, a zespół teatralny w Polkowie (też w powiecie sieradzkim) — telewizor, jako nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki za... szczególne osiągnięcia w akcji upowszechniania teatru w swoim środowisku.

Komentarz chyba zbyteczny, ale naśladownictwo nie jest wzbronione!

* * *

Jeszcze w grudniu przebiegały powiatowe eliminacje (jak ten czas leci) XI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Jak nas poinformowano, w ubiegłorocznych przesłuchaniach brało udział ponad 8 tysięcy miłośników żywego słowa z terenu województwa.

(H. K.)

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Ogólnopolski Przegląd Amatorskich Zespołów Małych Form Teatralnych (w którym brały udział między innymi: Warszawski zespół „Hybrydy", Klub studencki „Pod Jaszczurami" z Krakowa, Studencki Teatr Polityczny przy Akademii Medycznej w Szczecinie, Kabaret „Riposta" przy Uniwersytecie Warszawskim) zakończył się małą sensacją. Najwyższą notę uzyskał łódzki Zespół Pieśni i Tańca im. Strzelczyka przy ŁDK. Łodzianie pokazali we Wrocławiu tzw. „balet moderne", który łączy pantomimę z anegdotą literacką i tańcem. Program inscenizowanych piosenek pt. „Deszczowa piosenka" znalazł uznanie w oczach jurorów, wśród których znaleźli się nie lada znawcy, jak Jarosław Abramow i reżyser Józef Gruza. Kierownik artystyczny łódzkiego zespołu, choreograf i reżyser Stefan Dowgird ma ambicję stworzenia grupy artystycznej, która w oparciu o współczesną muzykę mogłaby realizować oryginalne widowiska taneczne.

WTOREK

„Wydarzeniem" nie tylko w znaczeniu dodatnim, lecz również w sensie negatywnym był wieczór autorski jedenastu poetów warszawskich w Klubie Dziennikarza przy ulicy Piotrkowskiej 96. Czytali swe wiersze Witold Dąbrowski, Bohdan Drozdowski, Stefan Flukowski, Anna Kamieńska, Ludmiła Marjańska, Andrzej Piotrowski, Joanna Polakówna, Włodzimierz Słobodnik, Arnold Słucki, Zbigniew Stolarek i Jan Śpiewak. Każdy z autorów czytał po cztery wiersze i w każdym z czterech wierszy można było znaleźć przynajmniej jeden, który był wzruszającym dokumentem przeżycia lirycznego i świetnej nowoczesnej formy. Tymczasem (i tutaj strona negatywna „wydarzenia") stało się to, co nie dziwi na wieczorze autorskim gdzieś w Kaczym Dole, ale zdumiewa w drugim po Warszawie co do wielkości mieście: poeci zostali zaatakowani przez publiczność za „niezrozumiałstwo" nowoczesnej poezji. Co dziwniejsze, jedna z osób zabierających głos (studentka filologii!) wykazała brak podstawowych wiadomości o zasadach odbioru nowoczesnej poezji, a reszta dyskutantów — brak wyczucia i elementarnej „muzykalności". Toteż dyskusja toczyła się, jak powiada Boy-mędrzec, „jak zawsze w gronie rodzinnym, każdy mówił o czym innym". Dopiero ostra odpowiedź Arnolda Słuckiego i Jana Śpiewaka uprzytomniła zażartym tradycjonalistom i wielbicielom przestarzałych rymów, że poezja nowoczesna wymaga trudu i przygotowania do jej odbioru.

ŚRODA

Działalność pracowników kultury urasta czasem również do rzędu terenowych, ale nie mniej ważnych wydarzeń. Przykładem — Pabianice! W Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się zebranie Koła Przyjaciół Książki, w którym wzięli udział między innymi pisarz łódzki oraz dyrektor Biblioteki Wojewódzkiej. Okazało się, że Koło zorganizowało w ubiegłym roku kilkanaście spotkań autorskich u siebie, w szkołach, w zakładach pracy. Wśród zaproszonych autorów wymieniono Sewerynę Szmaglewską, Stanisława Wygodzickiego, Eugeniusza Pauksztę, zaś z Łodzi Stanisława Czernika, Jana Huszczę, Wandę Karczewską, Jana Koprowskiego i wielu innych. Okazało się, że w skali wojewódzkiej najlepiej pracuje zespół osób zgrupowanych dokoła Biblioteki Publicznej w Wieluniu. Ale Wieluń poza dwiema salami kinowymi i dwiema cukierniami nie posiada żadnego innego ośrodka kulturalnej rozrywki i jest pozostawiony samemu sobie, tzn. nie jest takim satelitą kulturalnym, jak Pabianice w stosunku do Łodzi (12 km) lub Łódź w stosunku do Warszawy. A więc, brawo Pabianice!

CZWARTEK

Pod koniec grudnia ub. roku została otwarta w Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku im. Sienkiewicza wystawa malarstwa i grafiki Stanisława Fijałkowskiego, Michała Gałkiewicza, Andrzeja Łobodzińskiego, Ireneusza Pierzgalskiego i Krystyna Zielińskiego. Wystawa jest pokazem nader interesujących rodzajów malarstwa surrealistycznego, strukturalnego, naturystycznego, collage'u i in. Szczupła garstka przybyłych gości miała możność zaznajomienia się z dziełami będącymi owocem wybitnych talentów plastycznych. A jednak — sądząc z frekwencji — wystawa nie wywołała w tzw. „szerokich kołach społeczeństwa" oddźwięku, na jaki zasługuje.

PIĄTEK

Przyjaciel ofiarował mi francuski słownik „Myśli i maksym". Heraklit sąsiaduje tu z Shawem, Kant z Oxenstierną, Rousseau z Prevostem. Na 325 stronach zawarta jest nie najmniejsza cząstka mądrości świata. Ale emanuje z tych kart pesymizm. Posłuchajcie, proszę: „Gdyby świat znał motywy, które nami kierowały, wstydzilibyśmy się naszych najświętszych czynów" (La Rochefoucauld). „O tym, czy na pewno możemy polegać na naszym przyjacielu, przekonywamy się, gdy nasza sytuacja jest niepewna" (Cycero).

SOBOTA

Klub Międzynarodowej Prasy i Książki miał być przeniesiony do nowego lokalu w 9-piętrowym plombowcu przy ul. Narutowicza. O tych „przenosinach" słyszy się od trzech lat. Dom „budowało się" również ponad trzy lata. I nikt nie zwrócił jakoś uwagi, że w samym centrum miasta „budowa" zawala tak długo drogę. Czy to mówiąc łagodnie, nie skandal? Klub dotąd nie został „przeniesiony", bo wnętrze lokalu jeszcze „nie wykończone". Mówi się, że nastąpi to... w maju. Ale jeśli roboty będą prowadzone w takim samym ślimaczym tempie jak „budowa", to nie wiadomo, czy będzie to maj 1965 r., czy maj przysłowiowy?

NIEDZIELA

Wydajność pracy staje się kapitalnym zagadnieniem — moim skromnym zdaniem — w Polsce Ludowej. To polskie „być albo nie być". Jeżeli chcecie zobaczyć, jak się ten problem przełamuje w pryzmacie artystycznego ujęcia, to idźcie do Teatru Powszechnego na sztukę Marka Domańskiego „Ktoś nowy". Jest to z pasją napisana rzecz o wicedyrektorze, który w dzień walczy o postęp techniczny i podniesienie rentowności fabryki, a wieczorem podrywa babki. Oczywiście, upraszczam pragnąc zachęcić czytelników do pójścia na sztukę „Ktoś nowy". Ale proszę mi wierzyć, że oklaski rozlegają się raz po raz w czasie spektaklu przy podniesionej kurtynie. Dyskusyjność sztuki Domańskiego jest jedną z jej zalet, która porywa publiczność.

ARYSTARCH

ROBERT WALLACE

LALKA

Sądzę, że wybaczy mi Pan ten chaotyczny list, tak nieprzyjemny dla pańskiego prawniczego umysłu. Ale jest Pan przecież moim adwokatem. Zdaje mi się, że znalazłem się w kłopocie. Chciałbym wobec tego dokładnie wiedzieć, jakie go rodzaju jest to kłopot i co w związku z tym dałoby się zrobić.

Niewątpliwie przypomina Pan sobie moją córkę. Parę lat temu, kiedy był Pan w moim mieszkaniu na 55-tej ulicy, ażeby rozpatrzyć szczegóły mojego testamentu, ugryzła Pana w rękę. Nigdy nie zapomnę wyrozumiałości jaką okazał Pan wobec niej. Musiało to być bardzo bolesne ugryzienie, miała już wtedy dwanaście lat i zdrowe zęby trzonowe. Ale Pan nawet nie syknął. Dziś, mając 16 lat, posiada nadal ten okropny zwyczaj. A przynajmniej wierzę w to, że posiada. Jak domyślił się Pan prawdopodobnie ze znaczka na kopercie, przebywam poza granicami kraju i nie widziałem jej od paru tygodni.

Opiszę Panu, co zdarzyło się przed moim wyjazdem. Wczesnym grudniowym rankiem wyszedłem kupić jej parę świątecznych prezentów. Chciała dostać książkę o czarach i dużą lalkę, możliwie jak najbardziej podobną do żywej. Chciała także pudełko igieł i szpilek oraz jakiś prymitywny bębenek z jakiegoś tam karaibskiego kraju, Haiti zdaje mi się. Ale z uwagi na sąsiadów zdecydowałem, że nie kupię jej tego bębenka.

Nie miałem żadnych trudności w znalezieniu igieł i szpilek. Byłem z nich nawet zadowolony. Dziś produkuje się igły i szpilki takie same jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem. Przyjemnie jest spotkać staroświecki przedmiot, którego produkcja nie zmienia się od lat. Przedmiot nie zawierający żadnego plastyku. Jak Panu wiadomo, nie cierpię postępu technicznego.

Widok Park Avenue z rzędami tych szkaradnych wieżowców ze szkła i stali przyprawia mnie o mdłości. Otóż tuż przed moim wyjazdem zorganizowałem mały komitet w celu zmiany nazwy Park Avenue na Fourth Avenue North. Ale to jest już inna sprawa.

Być może, nie zdaje Pan sobie sprawy z postępu technicznego, jaki dokonał się w produkcji lalek. Ja sam nic o tym nie wiedziałem. Było to chyba dobrych parę lat temu, kiedy ostatni raz przyglądałem się z bliska lalce, i kiedy wszedłem do sklepu z zabawkami spodziewałem się znaleźć tam lalki klasycznego typu: szmaciane, z porcelanowymi główkami i szklanymi oczyma. Wiedziałem, że niektóre z tych lalek mogą przy odpowiedniej manipulacji otwierać i zamykać oczy i mówić „mama". Byłem jednak całkowicie nieprzygotowany na to, co ujrzałem. Kiedy znalazłem stoisko z lalkami, byłem wprost zaszokowany. Więcej niż zaszokowany. Wyglądało ono jak miejska kostnica. Niektóre lalki były bardzo duże. Nie próbowałem jeszcze wtedy podnieść którejś z nich i postawić prosto, ale oceniłem, że na szpilkach sięgałaby mi ramion.

Większe lalki zamknięte były w przezroczystych plastykowych pudełkach, do których przylepione były etykietki, wyliczające ich umiejętności. Czy zdaje Pan sobie sprawę, że wiele z nich potrafi chodzić, jeść i mówić? Piszę „mówić", ale nie mam na myśli powtarzania przez nie słowa „mama". Mogą one z powodzeniem mówić na różne tematy i przez dłuższy czas. Co więcej, nie są zrobione z gumy czy porcelany, ale z plastyku, który jest tak doskonałą imitacją ciała, że człowiek ma skrupuły przy ich dotykaniu. A niektóre, jak Pan prawdopodobnie słyszał, posiadają mechaniczne serca, bijące podobnie jak nasze. Jako prawnika, zainteresują Pana zapewne drukowane uwagi przy egzemplarzach najbardziej doskonałych lalek, w których podaje się, że „na podstawie orzeczenia Sądu Najwyższego producent oznajmia, iż sprzedaż i posiadanie tej lalki w żaden sposób nie narusza paragrafu 13 art. 255 KK". Inny prawny problem, który może Pana zaintrygować, dotyczy sposobu pozbycia się zniszczonej lalki. Czy należy ją wtedy pogrzebać?

Wahałem się przez jakiś czas, nim dokonałem wyboru, ale w końcu wybrałem lalkę, która przypominała mi pewną studentkę z Bryn Mawr. Przez moment wydawało mi się, że wyraźnie widzę poza dźwiękoszczelnym plastykowym futerałem ruch jej warg, które jak gdyby chciały powiedzieć „pomóż".

Fot.: E. Hartwig

Lalkę doręczono mi do mieszkania późnym wieczorem 24 grudnia. Natychmiast schowałem ją do szafy. Po przystrojeniu choinki i posłaniu córki do łóżka (i zabandażowaniu sobie ręki) otworzyłem plastykowe pudło. Lalka wyszła z niego, przywitała się grzecznie i poprosiła o aspirynę i szklankę wody. Jednakże kiedy już niosłem aspirynę, poszła za siebie, drugi dla mnie. Nigdy w życiu nie piłem lepszego martini. Kiedy wypiła lampkę, spróbowałem najbardziej dyplomatycznie jak mogłem poruszyć sprawę ułożenia jej z powrotem w pudełku, tak ażebym mógł ją zapakować. Było to jednak strasznie żenujące, tym bardziej, że prowadziła ze mną bardzo interesującą i dojrzałą rozmowę. W żaden sposób nie mógłbym przerwać młodej panience i zapakować ją do pudła w połowie dyskusji o freskach Orozia i Riviery. Wydaje mi się, że bardzo jej się podoba sztuka meksykańska i wie o niej wiele. Czekałem, mając nadzieję, że zmęczy się rozmową i uśnie. Wtedy mógłbym przedsięwziąć odpowiednią akcję. Ale ona mówiła i mówiła bez przerwy. Jej opinie zgadzały się z moimi w wielu kwestiach i kiedy zaczęła mówić o swoich nadziejach, swoich marzeniach i życiowych trudnościach, byłem szczerze wzruszony. Rozmawialiśmy tak, jak sobie przypominam, przez kilka godzin. Od czasu do czasu podchodziłem na palcach do pokoju mojej córki, żeby zobaczyć, czy nie obudziliśmy jej. Ale gdzież tam. Spała twardo.

Świąteczny ranek był dla niej małym rozczarowaniem. Dałem jej tylko igły i szpilki oraz duży pusty plastykowy futerał, wyjaśniając, że przyniosłem go dla żartu i sprawdzenia jej zdolności. Gdy zmieści się w tym plastykowym pudle powiedziałem, dam jej 100 dolarów, które będzie mogła użyć na swoje świąteczne zakupy. Jednym z warunków gry było to, że przed wejściem do pudełka musi umyć twarz, uczesać włosy z oczu, włożyć czystą sukienkę i w ogóle zrobić wszystko, żeby posiadać dobrą prezencję. Zrobiła to i wsunęła się do pudełka, które było jak gdyby zrobione dla niej. Była wyraźnie oburzona, gdy nie pozwoliłem jej z niego wyjść. Tak przynajmniej wywnioskowałem z wyrazu jej twarzy.

Następnego dnia po Bożym Narodzeniu poszedłem z pudełkiem do sklepu z zabawkami. W sklepie było pełno rodziców i dzieci, wymieniających prezenty. Jedną lalkę zwracano z tego powodu, że nie umiała, jak to reklamowano, mówić po francusku, tylko posługiwała się wulgarną włoszczyzną. Inną zaś sprzedano z gwarancją, że potrafi zrobić dobry sos, ale sos musiał widocznie być bardzo przeciętny. W hałasie i zamieszaniu nie miałem żadnych trudności z umieszczeniem swego pudła na ladzie. Odszedłem nie zauważony przez nikogo. Żywo stoi mi w pamięci wyraz twarzy mojej córki. Często od tego czasu próbowałem wyobrazić sobie co się z nią stało. Ktoś prawdopodobnie ją kupił i zabrał do domu. Ale niewątpliwie zaraz potem zwrócił ją z powrotem do sklepu. Któż bowiem chciałby posiadać lalkę, która jest wyraźnie szalona i ciągle opowiada bezczelne kłamstwa o wyimaginowanym okrutniku, którym jest jej ojciec.

Moja lalka i ja jesteśmy w Mexico City. Zapisałem ją na tutejszy uniwersytet. Jest uroczym dzieckiem. I jakże chętnym do nauki. Niejeden ojciec chciałby mieć taką córkę. Przynosi mi moją fajkę i nocne pantofle i całuje moje poorane zmarszczkami czoło, kiedy jestem zmęczony. Jest prawdziwym wzorem dziecięcych uczuć.

Prosiłbym, by zechciał mnie Pan, jako adwokat, poinformować co do tego, czy mogą zaistnieć jakieś trudności natury prawnej w związku z dokonaną przez mnie zamianą córki. Jeżeli tak, proszę o zajęcie się nimi. Dziękuję...

Przełożył:

WITOLD LIWAROWSKI

fraszki jana czarnego

KTO Z CZEGO

Z przeceny bubli, skupu butelek
żyją niektórzy obywatele.

COŻ WARTE

Cóż warte zaklęcia lizusa
na Marksa albo Chrystusa?

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

AUTOMATY

Stoją w paru punktach Łodzi automatyczne wagi osobowe. Polegają na tym, że obok każdej z nich siedzi owinięty w kilkanaście szali starszy funkcjonariusz i automatycznie wyciąga rękę po pięćdziesiąt groszy. Czasem — przy wyższym zautomatyzowaniu całości — wypisuje jeszcze klientowi karteczkę z jego tonażem brutto. Za okienkiem wagi obracają się jakieś kółeczka i przesuwają precyzyjne dźwignie. Technika!

Automatyczne telefony, o ile nie zniechęcą potencjalnego użytkownika urwaną słuchawką, połykają bezpowrotnie monetę i jak długo zechcesz brzęczą ci automatycznie w ucho przyjemnym nie przerywanym sygnałem. Żadne kręcenie tarczą ani walenie pięścią w skrzynkę nie przerywa tego brzęczenia.

Na wszystkich automatach, które miały na dworcach sprzedawać peronówki i bilety do najbardziej uczęszczanych miejscowości, wiszą lakoniczne karteczki: nieczynny. Zresztą na większości normalnych kas też, czyli i pod względem nieczynności automaty pełnią z powodzeniem rolę człowieka.

Przy ruchliwych skrzyżowaniach ulic siedzieli kiedyś w wysokich budkach milicjanci i zapalaniem kolorowych świateł regulowali ruch. Odkąd światła zautomatyzowano — milicjantów w budkach nie ma. Stoją teraz pośrodku jezdni w najgęstszym wirze strumienia pojazdów nadając temu strumieniowi rytm gestami ramion.

W moim domu zainstalowano przy głównym wejściu do sieni rząd guzików: za naciśnięciem miał odzywać się dzwonek w mieszkaniu żądanego lokatora, lokator naciskał inny guzik — i drzwi się otwierały jak w bajce. Bajkę tę znali już nasi dziadkowie, gdy byli dziećmi. Niestety dziś bajki się nie udają. Dzwoniło zawsze nie tam gdzie trzeba, a przeważnie u mnie.

Teraz wiem, jak bogate życie towarzyskie prowadzą sąsiedzi z całej klatki schodowej. Poznałem też mnóstwo ludzi, bo za każdym razem trzeba było z kluczem w garści schodzić z trzeciego piętra i otwierać. Inaczej dzwonek nie przestałby brzęczeć aż do najbliższej awarii w elektrowni, a ludzie staliby na mrozie i uczyli młodzież brzydkich słów. Na szczęście po paru tygodniach ktoś zdemolował, przepraszam, rozmontował całe urządzenie i teraz dzieci przechodzące ulicą niepotrzebnie uciekają po naciśnięciu guzików: nikomu na złość nie zrobią!

Cała sprawa wynika chyba z błędnego założenia, że najprostsze, prymitywne, mechaniczne czynności powinny być przez człowieka przekazane automatom. Dlaczego? Dlaczego nam, ludziom, mają pozostać czynności trudne, męczące dla główki i serduszka? Dlaczego mechanizmy mają się wykpić lenistwem? Nie zgadzamy się! Z prostej ludzkiej zazdrości będziemy niszczyć takie leniwe mechanizmy. Prymitywną pracę rezerwujemy dla siebie, wykonamy ją nie gorzej od automatów, nikt z nas nie zepsuje się po tygodniu i nie będzie musiał rdzewieć z braku części zamiennych. Jednocześnie zaś budujemy dla siebie i na eksport elektronowe mózgi, żeby wyręczyły nas w prawdziwie poważnych zmartwieniach.

Jednocześnie też piszemy arcymądre powieści naukowo-fantastyczne, tłumaczone często na obce języki, gdzie automaty nie tylko odkrywają nowe Mleczne Drogi, ale żenią się, mają dzieci, a nawet mówią „przepraszam" gdy numer w telefonie zajęty. —

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3695/64, N-3.